ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 5 (124) • Maj 2016 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Bycie sobą? Nie polecam!

Żyjemy w czasach zdominowanych przez idiotyczny wymóg sprowadzony do powiedzenia „grunt to być sobą”. Wymóg ten stoi w sprzeczności z obowiązującym przez wieki systemem wartości i regułami kulturowymi, ale według mniemania coraz większej liczby osób nie podlega dyskusji, bo człowiek jest wartościowy tylko wtedy, gdy nie stara się być kimś innym niż jest. Liczy się luz i akceptacja siebie.

Nobilitacja przeciętności spowodowała, że dobre obyczaje, które na ogół przyswajamy w trakcie wieloletniej drogi wychowania i które są częścią naszej społecznej natury, traktuje się jak zamach na wolność i osobowość. Zwolennicy imperatywu „bycia sobą” niechętnie poddają się konfrontacji z opiniami i racjami otoczenia. Bywa też, że chodzi wyłącznie o to, by traktować siebie „uczciwie” jako byt nieidealny, ale ze wszystkimi prawami do eksponowania swoich niedostatków edukacyjnych, wychowawczych, emocjonalnych. „Byciem sobą” usprawiedliwia się niemal wszystkie wady i osobowościowe braki, z których wielu próbuje uczynić cnotę czy wyróżnik. Taka moja uroda, bo jestem wychowany bez stresów, bo jestem zołzą, czy „humorki to moja specjalność”, „obgaduję, bo lubię”. Głosiciele tak rozumianego „indywidualizmu” nie silą się na usprawiedliwienie swoich wpadek, nieznośnego narzucania siebie innym. Wytłumaczeniem jest właśnie owo „bycie sobą” - tj. szczerość i naturalność w zachowaniu.

Brak świadomości własnych ograniczeń, nadmierne i nieuzasadnione zadowolenie z siebie, jak i łatwość chowania się za źle rozumianą „naturalnością”, to jednak nic innego, jak objawy utraty instynktu społecznego. To rezygnacja z zespołu reguł kulturowych stanowiących społeczne ramy dla indywidualnej aktywności w przestrzeni międzyludzkiej. Człowiek to istota stadna, z natury potrzebująca towarzystwa innych ludzi i traktowanie ich wyłącznie jako widowni lub tła dla autoprezentacji, z czasem sprowadza na drogę po równi pochyłej. Bo kto i jaką przyjemność miałby z obcowania z kimś, kto ze swoich słabości, złych nawyków, nieposkromionych humorków i nieznośnego gadulstwa, a nawet chamstwa, niedojrzałości, narcyzmu robi coś w rodzaju broszki, ozdobnika i źle pojętego towarzyskiego atutu? Delektowanie się samym sobą i korzystanie z nieskrępowanej wolności czasami pozycjonuje nas w oczach ludzi jako jednostkę wymykającą się samodyscyplinie, kontestującą „kolektywistyczne” wzory wartości. Z czasem - nieprzewidywalną. „Bycie sobą” to komunał z gatunku tych, które jego wyznawców sprowadza na społeczne manowce. Zwłaszcza gdy zamiast stanowić wyzwanie, staje się zasłoną dymną.

Joanna Sosa-Misiak

Tak się z nami skontaktujesz...

Redakcja Echa:
internet: www.tmzz.pl
www.facebook.com/echo.zlotoryi
email: echo@tmzz.pl
Spotkanie Redakcji Echa
(w poniedziałki 17.00-18.00)

Stowarzyszenie TMZZ:
internet: www.tmzz-zlotoryja.pl
(sprawdź też na facebooku)
email: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl
tel.: 76 8788137

Rekonstruktorka

Iwona Pawłowska: Jak się czujesz, jako jedyna kobieta w grupie złotoryjskich rekonstruktorów?

Dorota Konieczna: W tej chwili jestem jedyna, ale jeszcze dwa lata wstecz była z nami Gosia Kurjata. Raz na jakiś czas przebierała się też inna koleżanka. Teraz jednak zostałam sama. A jak się czuję? Chłopaki mnie traktują dobrze.

Jak kobietę czy jak kumpla?

Zależy...zależy w jakich okolicznościach. Jak trzeba kanapki zrobić, to jestem kobietą. Na „polu bitwy” jestem kumplem. Od początku chciałam, by traktowali mnie na równi i tak jest w większości przypadków. Ale sama mam takie zapędy, by ich poniańczyć, coś przynieść, podać...

Wiele masz z tego powodu pracy?

Nie, dlatego, że nas jest niewielu, w złotoryjskiej grupie, oprócz mnie, jest Przemek Markiewicz, Grześ Kurjata, Michał Maciejak i od czasu do czasu pojawia się Trevor, czyli Michał Kowalski. Ale zwykle jesteśmy w czwórkę.

Macie potrzebę, by poszerzyć tę grupę?

Fajnie by było, gdyby ta grupa się rozrosła, gdyby byli chętni, którzy chcą to robić. Ale to wiąże się z zakupieniem munduru, czyli kosztami. Mundury są naprawdę drogie.

Te, w których się pokazujecie, są waszą własnością?

Tak. Sami je kupowaliśmy. Ja przez dwa lata nie miałam swojego i pożyczałam, ale potem odkupiłam i jest. Zwykle kompletujemy odzież, szukając jej na giełdach, na allegro, są też specjalne strony internetowe z militariami.

Zauważyłaś, że zabawa w odtwarzanie historii jest coraz bardziej popularna?

Tak, coraz więcej się dzieje w tej sferze. Jakbyśmy byli tacy zwarci, gotowi, mobilni, moglibyśmy co weekend być na jakiejś rekonstrukcji poza Złotoryją i walczyć.

Dlaczego rekonstruujesz okres II wojny światowej?

Każdy inny jakoś ciężko mi się przyswajało ☺. A za to lubiłam czytać książki o II wojnie, relacje z obozów... Poza tym te wydarzenia są wciąż żywe w pamięci wielu. Żyją jeszcze ludzie, którzy brali w tym udział i mogą nam o tych czasach opowiedzieć.

No właśnie... z drugiej strony to trochę kontrowersyjne, a momentami pewnie nawet niebezpieczne, bo ten okres niedobrze niektórym się kojarzy, a wy ponadto przebieracie się w mundury sowieckie. Wiemy, jak odbierani byli Sowieci podczas II wojny i jeszcze wiele lat po niej.

Tak, to też przeżyłam podczas jednego z Finałów

WOŚP. Pierwszy raz mnie dotknęła wtedy ta negatywna strona rekonstrukcji. Podszedł do nas wtedy starszy pan, który nie mógł się pogodzić z tym, że jesteśmy w sowieckich mundurach. Co chwilę do nas powracał i mówił, że tak nie można, że Rosjanie zrobili mu wielką krzywdę, skrzywdzili rodziców, dziadków. I jak my, młodzi ludzie możemy teraz ubierać na siebie te „szmaty”.

I jak to tłumaczyłaś?

Akurat tej osobie nie dało się nic wytłumaczyć. To był monolog. Bardzo emocjonalny. Ale są osoby, które nas o to pytają z ciekawości, a wtedy mówimy, że złe strony historii też trzeba pokazywać, przypominać. Ktoś musi być tym złym. W większości ludzie to rozumieją, pojmują, że to tylko gra, a nie propagowanie jakiejś ideologii czy jej kult.

A złotoryjanie już się przyzwyczaili do was?

Myślę, że tak. Ale szkoda, że nie mogliśmy tu jeszcze pokazać się w działaniu, w typowej rekonstrukcji. Najbliżej można nas było oglądać na Grodźcu, a to też dla niewielkiej liczby ludzi z naszego miasta. Tu przebieramy się okazjonalnie, jako nazwijmy to – lokalna atrakcja podczas pewnych imprez (ostatnio Bieg Wulkanów). Wtedy chłopaki czasem też przebierają się za milicjantów.

Ty nie?

W zasadzie moja przygoda z rekonstrukcjami, jakieś cztery lata temu, zaczęła się właśnie od tego, że dla zabawy ubrałam mundur milicyjny. To było podczas pierwszych edycji Biegu Wulkanów.

Jak często bierzecie udział w imprezach rekonstrukcyjnych?

Ubolewam nad tym, że ostatnio dość rzadko. Brakuje po prostu czasu. Każdy z nas ma życie zawodowe i osobiste. Jesteśmy też grupą, jak brakuje jednego, to reszta też nie jedzie, zwłaszcza, kiedy brakujący jest kierowcą ☺.

Ponosicie też jakieś nakłady finansowe, jadąc na takie rekonstrukcje?

Nie, w takich większych nie, poza paliwem. Czasem zwraca się nam koszty za dojazd i wyżywienie. Więc jeśli ma się mundur, to już dużo nie kosztuje ta zabawa.

Jak wyglądają takie rekonstrukcje walk „od środka”? Jest to precyzyjnie zaplanowane czy idziecie na żywioł?

Parę dni wcześniej dostajemy scenariusz. Według którego poruszamy się na rekonstrukcji. Każdy ma swoje zadanie, czyli rolę. Nic nie odbywa się w chaosie. Tak musi być, ponieważ najczęściej jest pirotechnika podczas tych wydarzeń. Jest też sprzęt ciężki, czołgi, samoloty, więc wszystko musi być zgrane ze sobą. Musimy wiedzieć, którą stroną możemy iść, żeby nie natknąć się na ładunki pirotechniczne. Dlatego też odbywają się najpierw próby chodzone. Wszyscy idziemy jednym ciągiem i patrzymy, gdzie nie wolno nam stawać czy

przebiegać. Te miejsca zwykle są jakoś oznaczone. BHP jest tu bardzo ważne.

Mimo wszystko zdarzają się jakieś niebezpieczne sytuacje?

Takie drobne wypadki zdarzają się często. Raz widziałam poważniejszy wypadek w Lubiążu. Ktoś dostał odpryskiem ładunku. Ale pewnych sytuacji, mimo ostrożności nie da się uniknąć czy przewidzieć. Ale raczej wszyscy stosujemy się do zasad i zwykle jest bezpiecznie.

Jak znosisz te warunki polowe jako kobieta, która zwykle wygląda elegancko, estetycznie? Taka rekonstrukcja kojarzy mi się z brudem i wysiłkiem fizycznym. Nie odbiera Ci to kobiecości?

Może to brzmi śmiesznie, ale nawet wtedy staram się dobrze wyglądać. Nawet ucharakteryzowana na ranną, posiniaczoną mam wszystko pod kontrolą. Podbite oko ma być podbite estetycznie. Nie rezygnuję też z codziennego makijażu, byle nie rzucał się zanadto w oczy.

Sama się charakteryzujesz?

Tak, sama sobie „strzelam lima”☺. Na większych rekonstrukcjach malujemy się nawzajem z dziewczynami. Przy okazji kilkadziesiąt osób dookoła też „brudzimy”.

Masz jakąś skuteczną metodę na „wojenny make up”? Jakieś specjalne kosmetyki, które w tym się sprawdzają?

Mam, ale to moja tajemnica ☺. Używam też sztucznej krwi, no i zdradzę, że... ziemi ☺

Jaka jest atmosfera na takich wojennych eventach?

Jest świetnie. Lubimy się, nie rywalizujemy o Bóg wie co, z niecierpliwością czekamy na kolejne spotkanie. Tęsknimy za sobą. Piszemy do siebie, powiadamiamy się o następnych wydarzeniach. Mam takie znajome z Poznania, z którymi, gdy się spotykam, to wiem, że ładuję akumulatory. Rozmawiamy o rekonstrukcji, ale więcej o życiu, w ogóle o wszystkim. Mamy już nawet swój kod, porozumiewamy powiedzeniami, które dla nas są jasne lub śmieszne, bo wynikają z jakiś rekonstrukcyjnych sytuacji.

Wciągnęłaś w rekonstrukcje swoją rodzinę?

Mój mąż jest zdecydowanie wciągnięty, bo z reguły jest naszym kierowcą. Ale nie przebiera się w mundur. Nie ciągnie to go w ogóle. To nie jego bajka, więc mam wrażenie, że poświęca się bardzo. Czasem tak patrzę na niego z oddali i myślę sobie, że pewnie bardzo się teraz nudzi. Nigdy mi jednak tego nie okazuje. Zwykle cierpliwie czeka aż skończy się zabawa i z powrotem zawozi nas do domu.

A syn?

Nie lubi. Nie lubi tego hałasu, strzelania. Jak już musi jechać z nami, to jest wielki bunt. Jego interesuje tylko piłka nożna. Chociaż ostatnio byliśmy jako widzowie na Rajdzie Arado w Jeleniej Górze na lotnisku i tam mu się nawet spodobało. Może dlatego, że na tej wielkiej otwartej przestrzeni nie było uciążliwego hałasu. Po raz pierwszy syn nie musiał zatykać uszu i był zadowolony, że pojechał z nami.

Zdradź mi, jaka jest Twoja rola podczas rekonstrukcji?

Zwykle jestem sanitariuszką. Opatruję „rany” bandażami zrobionymi z prześcieradeł. Mam też inne rekwizyty.

Podczas prawdziwej bitwy umiałabyś udzielić pomocy rannemu?

Myślę, że tak. Na pewno nie spanikowałabym. Mam w sobie odruch pomocy. Niestraszne mi krew czy rany.

Jest taka rekonstrukcja, którą zapamiętałaś szczególnie?

Najpiękniejsza i najbardziej wzruszająca byłą rekonstrukcja w ubiegłym roku w Głogowie. Było to odtworzenie epizodów z powstania warszawskiego. Tam występowałam jako cywil ale też jako sanitariuszka. Brałam też udział w ataku. To naprawdę było mega wzruszające i tam też poleciały mi autentyczne łzy z oczu. Było kilka scen, podczas których trudno było ukryć wzruszenie, na przykład pojmanie dziecka, które miało być rozstrzelane lub wsadzanie nas do samochodu, by wywieźć nas na śmierć. To było piękne i perfekcyjnie zorganizowane widowisko. Dużo się działo i bardzo ładnie odtworzona została wojenna Warszawa...w Głogowie.

Nie miałaś na sobie sowieckiego mundury, więc jak wyglądałaś?

Miałam sukienkę (wygrzebaną z szafy babci kolegi) i torebkę z tamtych czasów. Stylizowane buty (pantofle z Clarksa), skarpetki bez ściągacza (niełatwo takie kupić). Moja fryzura też była odzwierciedleniem mody z lat wojennych.

Dbasz o szczegóły?

Tak, staram się. Wyszukuję wiadomości w Internecie, śledzę to, co związane z obyczajowością czasów, jakie odtwarzam. Chcę, by to wszystko, co robię, było perfekcyjne.

Wykorzystano was, rekonstruktorów, jako obsadę aktorską w „Opowieści złotoryjskiej”. Jak to wspominasz?

Muszę cię zaskoczyć, to nie jest jedyny film, w jakim wystąpiliśmy. Dwa lata temu kręciliśmy w Świebodzicach zdjęcia do „Ogłuszonych ciszą” Petelskiego (w tym roku film wchodzi na ekrany). Cały dzień graliśmy kilkunastosekundową scenę, co doprowadzało nas do szaleństwa. Charakteryzatorce nie podobały się moje jasne włosy i ciągle chodziła za mną i smarowała mi je jakimś czarnym mazidłem ☺.
Ale i dniówka i atmosfera na planie wynagrodziły to wszystko. Było bardzo fajnie. Widziałam zwiastun i na nim jesteśmy, co prawda widać tylko nasze sylwetki, mimo to mamy satysfakcję.

Jak porównujesz te dwa filmy?

„Opowieść” jest projektem, do którego jako złotoryjanka mam emocjonalny stosunek. To nasz film. A tamten potraktowałam jako fajną przygodę, ale raczej popatrzyłam na to w kategoriach komercyjnych. Ale dodam, że na tym profesjonalnym planie, byliśmy bardzo zawodowi, nawet udzielaliśmy wskazówek statystom ☺.

Słyszałam też, że jesteś twarzą kalendarza.

Tak. Z dziewczynami z Polkowic zrobiłyśmy, według ich pomysłu, fajny kalendarz „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. Pokazuje on młode dziewczyny podczas wojny w zwyczajnych sytuacjach i potem te same kobiety z tymi samymi gestami, ale już w innej scenerii, podczas zmagań wojennych, bitwy. Są tam chyba moje trzy zdjęcia. Miło wspominam pracę nad tym projektem. Był pełen profesjonalizm. Zdjęcia są naprawdę świetne. Mam zdjęcie, jak leżę z kolegą na kocu, słuchamy muzyki z gramofonu, podaję mu jagody do ust. Dłoń mam poplamioną sokiem z jagód. Jesteśmy szczęśliwi. I w tym samym ułożeniu mamy drugie zdjęcie, tyle, że nie leżymy na kocu, lecz on na trawie, umiera, a ja mam jego krew na rękach Oprócz kalendarza zrobiono zdjęcia na wystawę. Wernisaż był w Polkowicach i ta wystawa miała jeździć po miastach, ale jak potoczyły się jej dalsze losy – nie wiem.

Pokażesz nam te ujęcia?

Jasne. Możesz publikować. Nawet byłabym szczęśliwa ☺.

To może jeszcze obiecaj, że sprowadzisz tę wystawę do Złotoryi.

Dobry pomysł. Postaram się. Może na rocznicę wybuchu wojny?

No to jesteśmy umówione. I na koniec życzę Ci, by ta pasja nie opuściła ani Ciebie, ani Twoich kolegów szybko, a może kiedyś doczekamy się i w naszym mieście rekonstrukcji z prawdziwego zdarzenia.

z Dorotą Konieczną rozmawiała
Iwona Pawłowska

Mecz Proboszczów-Sokołowiec (14.06.1959 r.)

Pasja do piłki nożnej

Najpiękniejszy stożek powulkaniczny w Polsce zwany Ostrzycą Proboszczowicką owiany jest mnogością legend i tajemnic. Dziś poznamy opowieść związaną z tym wyjątkowym miejscem i z niezwykłymi ludźmi, którzy ponad 50 lat temu realizowali swoje pasje pod uśpionym stożkiem. Dowiemy się rzeczy odległych i być może zapomnianych. Odwiedzimy mieszkańca Proboszczowa – pana **Jana Mateckiego**, dla którego niezapomnianą przygodą stała się działalność na rzecz ukochanego klubu LZS.
Swoje losy z klubem, którego początki sięgają 1949 r. pan Jan związał 10 lat później. Wtedy to właśnie, po kilkuletnim letargu drużyna piłkarska pod opieką świeżych działaczy obudziła się do nowych wyzwań.

Jak wyglądała sytuacja klubu w pierwszych latach działalności?
Na samym początku w 1949 r. klubem zajmowali się inni. Marian Wrutniak i Jan Węgrzyn byli jego założycielami – pierwszymi ludźmi, którym zamarzyło się połączyć swoje życie z piłką nożną. Po kilku latach trochę przycichło i nastąpiła krótka przerwa. Ja swoją działalność rozpocząłem, kiedy prezesem został Karol Rudzicki. W Proboszczowie powstało koło Związku Młodzieży Wiejskiej - miałem wtedy 20 lat. W ramach tej organizacji postanowiłem wspólnie z innymi w 1959 r. reaktywować LZS.

Skąd u pana pasja do piłki nożnej? Lubił pan grać „w nogę"?
Trochę grałem, ale mi nie wychodziło. Byli jednak tacy, którzy mieli niezwykły dar do tego sportu. Dlatego razem z kolegami ze ZMW postanowiliśmy przywrócić do świetności drużynę poprzez wznowienie działań.

Proszę opowiedzieć, co konkretnie pan postanowił?
W pierwszych latach od 1959 do 1960 pełniłem funkcję sekretarza, od 1960 do 1961 przewodniczącego. W 1959 r. ukończyłem kurs sędziów piłkarskich i przez wiele lat sędziowałem spotkania. Wielu innych, którym na sercu leżało dobro klubu, włączyło się do pracy. Zespół liczył wtedy blisko 30 członków, którzy działali pod patronatem Rady Powiatowej LZS, a później Społecznej Sekcji Piłki Nożnej. To właśnie SSPN odpowiadała za organizację rozgrywek piłkarskich. Była to Liga W, czyli wiejska.

Kiedy pojawiła się nazwa – *Huragan*?
Dokładnie nie pamiętam, ale nazwę - *Huragan* wymyślił Roman Baran.

Jak pan wspomina tamte czasy?
30 lat poświęciłem swojej pasji do piłki, wiele lat jako działacz i sędzia, jednak nie żałuję. Byłem też mecenasem klubu, który działał przy PGR w Proboszczowie. Teraz są trzy grupy w kl. A. Wtedy grupa legnicka liczyła 16 drużyn. To była bardzo silna grupa, reprezentująca powiat na zewnątrz.

Pamięta pan nazwiska osób, które pomagały na rzecz LZS.
Było nas wielu. Większość graczy to również aktywiści. Niezwykle utalentowany wówczas zawodnik, Bogdan Winiarski, był jednocześnie działaczem i oprócz tego pierwszoligowym zapaśnikiem w *Ikarze* Legnica, a potem przeszedł do *Lotnika* Wrocław i walczył tam również w pierwszej lidze. Po zawodach we Wrocławiu przyjeżdżał do nas na mecze. Niezwykły człowiek. Grał też Stanisław Stefek – nauczyciel tutejszej szkoły. Na środkowym ataku grali bracia Maksymilian i Marian Domaradzcy. Byli też Piotr Bielak, bracia Jan i Franciszek Górajcowie, Jerzy Gralak – obecnie mieszkaniec Lubina, Stanisław Kołodziej i Antoni Matecki, strzelający podkręcone piłki. Jego „rogale" z rzutu rożnego lądowały w bramce przeciwnika. Te „strzały" można porównać do grającego w reprezentacji Polski – Krzysztofa Baszkiewicza.
Był też Zbigniew Maćków. Oni wszyscy się udzielali. Z wymienionych osób muszę dodać, że większość już nie żyje.

Czy klub pozyskiwał piłkarzy z zewnątrz?
Później tak. Przyjeżdżali piłkarze z Rząśnika – Marek Obajda i Jerzy Sadowski. Jerzy Grygorcewicz był ze Złotoryi. Z Twardocic naszą drużynę zasilali trzej bracia Sobole: Henryk, Zygmunt i Mirosław, oraz Andrzej Kosin z bratem Wiesławem zwanym „Duchem", a także Grzegorz Jóźwiak z Pielgrzymki.

Jeśli chodzi o kwestię finansową, sponsoring - kto wam pomagał w tamtych latach?
Dużą rolę odgrywała Rada Powiatowa Zrzeszenia LZS w Złotoryi, gdzie etatowymi pracownikami byli Leon Ratajczak i Kacper Grygorcewicz. Rada podlegała pod zrzeszenie Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej, gdzie przewodniczącym był Adam Kukla. Roman Baran był przewodniczącym Społecznej Sekcji Piłki Nożnej. W miarę możliwości to właśnie oni nam pomagali. Pomagały też firmy. Istniał wtedy Klub Sportowy „Włókniarz" Złotoryja i kiedy uległ likwidacji, to Rada Powiatowa przekazała nam część używanego sprzętu (koszulki i buty). Pamiętam, do butów piłkarskich były wtedy takie kołeczki, czyli skórzane kółeczka nabijane od spodu. Mieliśmy dwóch szewców. Byli to Andrzej Przydryga i Józef Jasiński. Oni nam pomagali

Po meczu

społecznie, naprawiając zniszczone obuwie.
W latach 1969- 1978 dyrektorem PGR w Proboszczowie był Lech Jędrzejczak, który sponsorował nam transport, czyli wszelkie wyjazdy oraz zakup sprzętu sportowego: piłek, siatek, bramek i innych potrzebnych rzeczy. Pamiętam jeszcze pierwsze rurowe bramki spawane na warsztacie, które wykonali pracownicy PGR, a zarazem piłkarze.

Jak widzę, pełny kolektyw i sporo pomagających, a gdzie rozgrywano większość meczów?
Wszystko rozgrywało się według terminarza. Mecze odbywały się na naszym boisku, ale też graliśmy na wyjazdach w pobliskich wioskach oraz dalej. Zaproszono nas nawet kiedyś do Saksonii. Występowaliśmy w Kochlicach, w Głogowie, a także w Kotli. W 1961 r. doszliśmy do eliminacji mistrzów Powiatu Województwa Wrocławskiego, gdzie doszliśmy do półfinałów. Walkę o finał przegraliśmy w Twardogórze.

Proszę opowiedzieć o tym zagranicznym wyjeździe. Czy pan był jednym z uczestników?
Rada Powiatowa organizowała wyjazdy za granicę. Brałem w nim również udział. Wyjazd miał miejsce w 1974 r. NRD obchodziło wtedy swoje 25- lecie powstania. Z okazji obchodów tej rocznicy zaproszono nasz klub na rozgrywki w piłkę nożną. Pojechaliśmy do Großdrebnitz pow. Bischofswerda koło Drezna. Na miejscu zostaliśmy bardzo ciepło przyjęci. Uraczono nas obiadem w restauracji, a później odbył się mecz towarzyski między naszymi drużynami. Po rozgrywkach uczestniczyliśmy wspólnie w zabawie tanecznej do północy. Jedną z atrakcji na drugi dzień była wycieczka i zwiedzanie Zamku Stolpen, będącym właściwie nie siedzibą a więzieniem Hrabiny Cosel. Było to dla nas wspaniałe przeżycie, a cała wizyta bardzo udana.

Czy miała miejsce rewizyta?
Owszem, zaprosiliśmy niemiecką drużynę FC Großdrebnitz do Proboszczowa. Na ich przyjazd z Wojcieszowa przywoziłem pościel i łóżka. Goście nocowali w świetlicy PGR, gospodarstwo dysponowało też stołówką. Myślę, że podczas tego pobytu niczego naszym sąsiadom nie brakowało.

Czy organizatorzy pomyśleli o pokazaniu im czegoś niezwykłego?
Zorganizowaliśmy im wycieczkę na Zamek Grodziec. Bardzo im się podobało. Na drugi dzień odbył się mecz towarzyski, a potem zabawa taneczna, podobnie jak u nich - z tym, że do samego rana.

Czyli typowa polska gościnność?
Właśnie tak.

Jak się porozumiewaliście, co z barierą językową?
Mieliśmy miejscowego tłumacza, którym był Stanisław Drabik.

Czy jakieś inne kluby też wyjeżdżały do Niemiec?
Oprócz nas wyjeżdżała z nami Nowa Wieś Grodziska.

Porozmawiajmy teraz o kibicach. Jacy byli kiedyś? Czy tak jak dziś, wspierali swoją drużynę?
Inne czasy, inni ludzie, ale kibice kulturalni, wspaniali. Towarzyszyli nam tu, na miejscu i wyruszali z nami dalej. Kiedy graliśmy poza Proboszczowem - cały autosan był załadowany zawodnikami i kibicami wspierającymi oraz dopingującymi *Huraganowi*. Muszę tu wymienić wielkich kibiców. Pasjonatem tego sportu był Jan Stolarczyk, oddany całym sercem naszej drużynie. Wielbicielem *Huraganu* był też Marian Andreasik, który docierał na wszystkie mecze rowerem, a później kupił sobie *Komarka.* Nie opuszczał żadnych rozgrywek. Docierał wszędzie i zawsze. Jego obecność była dla naszych wielką podporą.

Czyli kibice wspierali zespół duchowo?
Można tak powiedzieć. Kibice zagrzewali piłkarzy do gry i walki o zwycięstwo. Na akordeonie przygrywał im Adam Rudzicki.

Pamięta pan jakieś „zagrzewające" słowa, skandy?
Oj były różne, wesołe okrzyki. Jeden pani przytoczę: Gdy *Huragan* bramki strzela/To kibiców na meczu, co niedziela./ Hej *Huragan*, hej *Huragan,* hej *Huragan/*Róbcie z przeciwnikiem bałagan."

Pięknym okrzykiem kibice dopingowali swój ulubiony klub piłkarski w Proboszczowie. Kto był ówczesnym trenerem drużyny?
Funkcję trenera sprawował Tadeusz Podchorodecki.

Ze słyszenia wiem, że było wielu utalentowanych piłkarzy. Takie rodzime gwiazdy. Przybliży ich pan?
Do grupy utalentowanych należał bramkarz Roman Boszkiewicz - sprytny jak kot, kibice podziwiali go za tę niezwykłą umiejętność. Jak byliśmy na meczu w Ścinawie, to wszyscy przenieśli się za bramkę, aby go podziwiać. Wspaniałym napastnikiem był Franek Przydryga, a superobrońcami: Czesław Baran i Jerzy Grygorcewicz. Dwaj pierwsi jeździli na testy do Widzewa Łódź, ale na tym się skończyło.

Czy za pana kadencji sędziego miały miejsce jakieś poważniejsze kontuzje?
Były zwykłe otarcia, siniaki, bóle kolan, ale poważnych złamań, czy skręceń nie pamiętam.

Prowadząc spotkania jako arbiter często używał pan kartek?
Kartki weszły dopiero w latach 70. Wcześniej były ustne upomnienia. Jedno odpowiadało kartce żółtej, dwa czerwonej.

Czy podczas 90 minut na zielonej murawie, gra przybierała niekiedy agresywny charakter?
Jeśli chodzi o samą grę, była czasem ostra i agresywna, gdyż grało się o zwycięstwo. Szczególnie, gdy graliśmy na wyższym poziomie - w klasie A i chcieliśmy utrzymać pozycję.

Przez jaki czas utrzymaliśmy się w klasie A. Jakie to były lata?
Huragan utrzymał się w tej klasie przez 4 lata. Kiedy dokładnie? Hmm... były to początki lat 80. To dla drużyny wielkie wyróżnienie.

Jak po latach wspomina pan swoją przygodę z piłką? Co było dla pana motywacją?
Wszystkich łączyła nas piłka i miłość do tego sportu. To zafascynowanie dodawało nam energii i siły. Tęsknię i miło wspominam tamte dni. Dzisiaj też nieraz idę zobaczyć, jak grają nasi i wtedy stają mi przed oczyma dawne obrazy. Jako były sędzia, do gry w piłkę mam ogromną sympatię. W prywatnej biblioteczce trzymam z sentymentem „Przepisy gry w piłkę nożną z 1969 roku".

Pamięta pan jakiś niecodzienny wynik meczu?
Niezwykłym wynikiem była przegrana 1:15 z Zagłębiem Lubin. Lecz ciekawostką był fakt, że ten mecz sędziował Alojzy Jarguz – sędzia klasy międzynarodowej. To właśnie on jako pierwszy polski sędzia prowadził mecz podczas mistrzostw świata w piłce nożnej. Sędziował na Mistrzostwach Świata w 1978 r. w Argentynie, a 4 lata później w Hiszpanii.

Co chciałby pan powiedzieć wszystkim grającym?
Ludzi sportu powinna cechować skromność, gra fair play, nie powinni pokazywać swojego „ego", nie należy też lekceważyć przeciwnika, gdyż często wynik meczu odzwierciedla tego skutki.

Czy dzisiejszy *Huragan* ma utalentowanych piłkarzy?
Talenty są tak samo jak kiedyś, tak i dziś.

Jakim był pan sędzią? Czy umiał pan utrzymać dyscyplinę na boisku.
Na to pytanie musieliby odpowiedzieć ci, dla których sędziowałem. Na pewno zdania były różne. Jednak kierowałem się zasadą, że być sędzią to być sprawiedliwym.

Ma pan swój ulubiony klub piłkarski?
Mam sympatię lokalną do swojego regionu i Zagłębia Lubin.

Ostatnio Zagłębie wygrało z Legią. Pozostaje pan zatem wierny swojemu regionowi. Dziękuję bardzo za wywiad. Poznanie pana pasji było dla mnie prawdziwą przyjemnością.
Dziękuję za zainteresowanie moją osobą.

Z Janem Mateckim rozmawiała
Małgorzata Semeniuk

Przywitanie drużyny niemieckiej w Proboszczowie - 1974 r.

Wycieczka do Niemiec - 1974 r.

„Panno ma najmilejsza...”

Najstarszy i najdłuższy list z 1429 roku napisany został po polsku przez sekretarza biskupa poznańskiego – Stanisława Ciołka do panny z Międzyrzecza. Oryginał znajdziemy w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Dlaczego tak chętnie pisano listy? W minionych wiekach spotkaniu młodych towarzyszyli rodzice lub przyzwoitki. Nie wypowiadano słów czułych i dlatego listy były powiernikami i przekaźnikami uczuć, fascynacji i tęsknoty. Listami rozmawiano na każdy temat, zapewniano o miłości i tęsknocie. W listach znajdujemy opisy miejsc, wydarzeń, bo piszący umiejscawiał siebie w otaczającej go rzeczywistości. Zakochani (czasami równocześnie w kilku pannach) pisali namiętne listy, ale dlaczego niektórych nigdy nie wysłali – chyba już się nie dowiemy.

„Żyć mogę albo całkowicie z tobą, albo wcale nie. Postanowiłem tak długo tułać się na obczyźnie, aż będę mógł ulecieć w twe ramiona, i przy tobie poczuć się całkiem w domu.(...) O Boże, dlaczego ten przymus życia z daleka od osoby, którą się tak kocha? Moje obecne życie w Wiedniu jest nędznym życiem. Twa miłość czyni mnie zarazem najszczęśliwszym i najnieszczęśliwszym.(...) Kochaj mnie dziś, wczoraj.” Fragment listu z 1922 r. do Zofii (*wg badaczy*), odkryty po śmierci Ludwiga Van Beethovena w sekretnej szufladzie jego biurka.

Dotknięci zakochaniem, przeżywali katusze, męczyli się z powodu oddalenia, niemożliwości spotkania. Adam Mickiewicz 25 lipca 1665 r. przelał na papier tęsknotę słowami:

„Jedyna pociecho duszy i serca mego.
Nie co dzień, ale co minuta rad bym się pytać o zdrowiu twoim, moja śliczna panno, bez której widzenia już dawno ledwo żyć mogę: i lubo po łasce bożej i po twojej serca mego miłości nie mam nic na tym świecie nad honor milszego, tedy przyznać się moja duszo muszę: że mi i ten z ciężkością zatrzymać przyjdzie, jeśli inszego do widzenia prędkiego najśliczniejszej Jutrzenki nie będzie sposobu.”

Zakochani odczuwali potrzebę opowiedzenia o sobie, zdawali sobie sprawę z tego, że ukochana/ukochany pragną wiedzieć wszystko. Zakochany Napoleon podczas pobytu w Poznaniu, 2 grudnia 1806 roku pisał do Cesarzowej: „Dziś rocznica bitwy pod Austerlitz. Byłem na balu, który dało miasto. Pada deszcz. Powodzi mi się dobrze. Kocham Cię i tęsknię za Tobą. Moje wojska są w Warszawie. Nie było jeszcze mrozów. Wszystkie te Polki są Francuzkami, ale dla mnie istnieje tylko jedna kobieta. Czy znasz ją? Mógłbym Ci wprowadzić, nakreślić jej obraz, lecz musiałbym Ci zbyt pochlebiać, byś poznała samą siebie, lecz by prawdę powiedzieć, moje serce miałoby Tobie do powiedzenia tylko dobre rzeczy. Tak długie są noce, gdy się jest sam, całkiem sam. Zawsze Twój Napoleon.”

Jak widać list zbudowany został z krótkich komunikatów, niczym opis zadań dla plutonu. Język zakochanych obfituje w słowa pieszczotliwe. Zauroczeni sobą zwracają się do siebie jak do ulubionych zwierzęcych pupili. Winston Churchill dla swojej Klementyny Hozier był mopsem, a ona dla niego kotką. W 1909 roku napisał:

„Słodka kotko - całuję twoją wizję, która tkwi w mojej głowie. Słyszę, jak twoje serce pulsuje w moim własnym. Niech cię Bóg błogosławi, kochanie, bądź bezpieczna. Z najgłębszymi wyrazami miłości. Ucałuj P.K. Winston”

George Sand, wyemancypowana kobieta z początku XIX w., wikłała się w nowe związki, trójkąty i homoseksualne zabawy. Jej salon przemierzali artyści, podopieczni i ci, którym nie szczędziła miejsca w swojej sypialni. Mężczyźni kochali ją. Jednym z nich był Musset, który zasypywał Sand namiętnymi listami. W 1833 roku z Włoch przesłał jej list, którego fragment przeczytamy poniżej: „Kocham Cię, ty moja krew, moje ciało! Umieram z miłości, miłości bez końca, bez nazwy, szalonej, rozpaczliwej, zatraconej, kocham Cię, uwielbiam, ubóstwiam aż do ostatniego tchu! Nie, nie wyleczę się. Nie, nie będę próbował żyć i wolę to: umrzeć, kochając Cię to więcej warte niż żyć. Dużo dbam o to, co ludzie powiedzą! Powiedzą, że masz innego kochanka. Wiem o tem, płacę to życiem. Ale kocham, kocham, kocham, kocham.”

Pewna złotoryjanka, nazwijmy ją Ewą, przybyła do Złotej Góry jako nastolatka z Kresów. I chociaż wówczas Złota Góra zaludniła się niezwykle urodziwymi i wdzięcznymi panienkami - podlotkami, to nasza pani Ewa poruszała wszystkie serca młodzieńców i tych bardziej dojrzałych, a wolnego stanu, panów. Przy Ewie nikt się nie nudził. Dziewczyna, jeszcze tam – w swojej Arkadii - śpiewała, recytowała i tańczyła podczas różnych uroczystości. Była śmiała, obyta ze sceną, równocześnie skromna, prosta i prawdomówna aż do bólu. Ówczesna Złota Góra nie miała szkoły średniej, więc chłopcy rozjeżdżali się po okolicy, trafiając do różnego typu szkół. Zaraz po wyjeździe gnani tęsknotą zasiadali do pisania listów. Niewykluczone, że niektórzy pisali w tym samym czasie podobne listy do kilku dziewczyn, bo albo nie mogli zdecydować się na jedną, albo przezornie blokowali panienki na wypadek, gdyby upatrzone wybrały innych. Starszych chłopców zgarnęło wojsko, gdzie też mieli szansę ukończyć szkołę i zdobyć zawód. Wszyscy żyli wspomnieniami cudownych chwil spędzonych z rówieśnikami bądź już na pierwszych randkach. Współcześni młodzi ludzie nawet nie są w stanie wyobrazić sobie, że istniało życie bez telefonów i Internetu. Kwitło wówczas „listopisanie”. Niektórzy osiągnęli mistrzostwo. Inni pisali, jak potrafili: szczerze, prosto z serca, liczyły się intencje, pamięć i tęsknota. Ich listy były oczekiwane. Ludzie pisali listy, Poczta Polska starannie je dostarczała. Udawało się dobrze zgrać niezbędną wymianę zdań na jakiś temat. To całkiem dobrze funkcjonowało.

Ale wróćmy do naszej Ewy. Jest 15 października 1946 r., Dolek opuszcza miasto i osiada w Opolu na posadzie w wojskowości. Mieszka z kolegą w

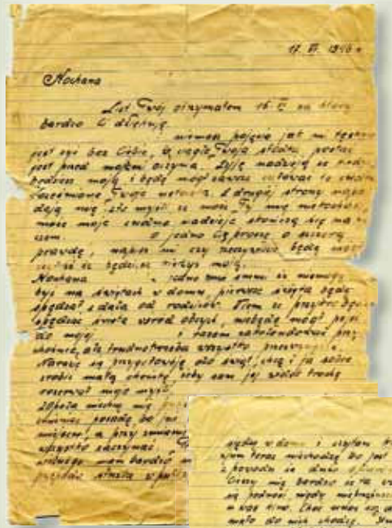

dwupokojowym mieszkaniu z łazienką, stołuje się w koszarach, jest zadowolony. On też pisze listy: „Zawsze wspominam chwile razem spędzone z Tobą. Wciąż mi na myśl wpada ta dobra zupka, którą Ty mi ugotowałaś, Ewuniu. Pragnąłbym być tylko z Tobą, jest mi coś smutno na duszy, choć świat jest taki wesoły, lecz coś mi nie pozwala się weselić.” Kolejny list jest datowany na 28 października 1946 r. i możemy domyślić się o czym pisała Ewa, bo Dolek komentuje: „Kochana Ewuniu, piszesz, że nie umiesz pisać listów do chłopaków, a czy „Kochane dziecko” umiałoby być żoną tego

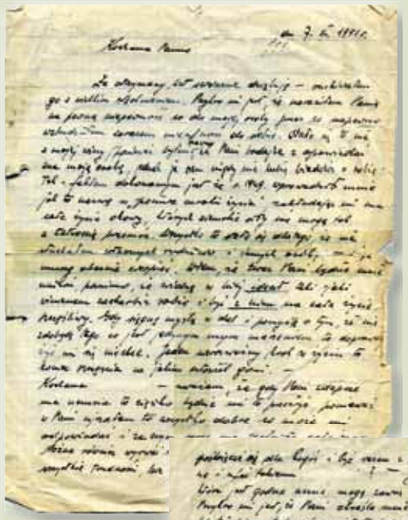

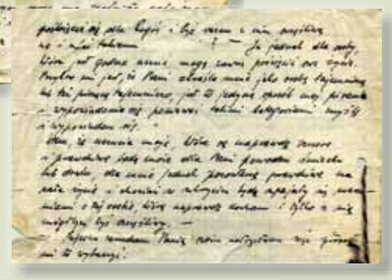

gościa, który chciał się z Tobą żenić?”
Miesiąc później Dolek naciska: „Powiedz mi, czego ja Ciebie, takiego dzieciątka, tak szczerze pokochał i nie ma dnia, żebym ja o Tobie nie myślał. Napisz Ewuniu, czy naprawdę mnie kochasz, czy tylko łudzisz nadziejami.” Na Barbary zapewnia o miłości, prosi o wzajemność i wyłączność. Styczeń przynosi skargę na dziewczynę; „Ewuniu, czemu Ty jesteś taka zimna dla mnie w tych swoich listach, czemu choć trochę czułością nie obdarzysz ich, czy już nie lubisz mię, może zapoznałaś innego chłopaka, bo ja natomiast nigdy nie zapomnę mojego kochanego dzieciaka”.
Płynęły lata, Dolek dopraszał się miłosnego wyznania, tłumaczył, że jego miłość starczy za dwoje, a Ewunia zręcznie odpowiedzi unikała. Dolkiem potrząsnęło życie, na chwilę zamilkł i w latach pięćdziesiątych powrócił do czułych słówek z nadzieją, że już wkrótce Ewunia zostanie jego ukochaną żoneczką. Ostatecznie pozostał cichym wielbicielem na przyszłe lata.

Dolek słusznie obawiał się, że taka śliczna i ułożona dziewczyna będzie miała licznych adoratorów. Kiedy on co tydzień zasiadał do listu, gdzieś znad morza pojawiły się czułości kolejnego adoratora. Tadeusz, wrażliwy na piękno przyrody, wplatał w listy opisy lotu ptaków, budzącej się po zimie przyrody. Wyznawał miłość. „Kocham Cię całym sercem chłopca, który patrzy w Twe oczy. Kocham i lękam się.(...) Kocham Cię i chcę uszczęśliwić, ale gdybyś była szczęśliwa z innym w milczeniu i spokoju zniosę to, bo pragnę Twego szczęścia.” Chciałoby się rzec - dojrzała miłość, która jest gotowa ponieść ofiarę, by tylko obiekt uwielbienia dostał w życiu to, czego pragnie. Tadeusz żywo reaguje na wschody i zachody słońca, każda fascynacja przyrodą porusza wyobraźnię, przywołując tęskne wspomnienie Ewy, więc znów chwyta za pióro. „Kochana Ewuniu, czyżby moje imię nie mogło brzmieć tak jak Twoje tu - „Kochana”. Sięgając wzrokiem dalej - zasypia niepokój innych myśli - dlaczegóżby nasza miłość nie mogłaby rozkwitnąć jak płatki białych akacji i na razie spędzać dni wielkimi radościami i marzeniami.” Listopadowa aura 1947 r. dopadła smutkami Tadeusza, który nie doczekał się listu od Ewy, więc siada i pisze: „Ewuniu, zaciekawia mnie bardzo, dlaczego nie możesz się zdecydować do tej pory i napisać mi odpowiedzi na list. Ewuniu, wybacz mi niedoskonałości, których nie życzysz sobie.”
Listopadowa nostalgia, bliskość świąt, przygotowanie do spotkań, zabaw przyspiesza zabiegi o kogoś bliskiego. Przywołuje pamięć o znajomych osobach, które gdzieś być może czekają na czyjś gest. Leszek z niedalekiego X robi miejsce na biurku (*w pracy*) i pisze:

„Kochana panno Ewuniu!
Zapewne zdziwi Panią ten liścik, który jest przejawem wielkiej odwagi, jaka skłania mnie do ośmielenia napisania tych paru słów. Jednak proszę wybaczyć mi to, ponieważ szczere zamiary i prawdziwa miłość, jaką żywię do Pani, zmusza mnie, ażebym napisał i chociaż tym ulżył swej tęsknocie za tą osobą, którą kocham. (...) Kochana Pani Ewuniu - dla mnie życie bez Pani wydaje się ogromną jaskinią, w której przesuwają się cienie ludzi, jak to twierdzi filozof idealista subiektywny, dla których życie jest tylko udręką. Zdaję sobie sprawę z tego, że są powody, które odstraszają i odpychają Panią ode mnie, pomimo tego ja muszę się przyznać i wyznać, że kocham Panią. Uważam, że ta prawdziwa miłość, jaka zrodziła się w moim sercu, będzie z każdym dniem wzrastała i potężniała, a wiara w dopięcie celu będzie jej drogowskazem, przy pomocy którego zasileni obopólną prawdziwą i szczerą miłością stworzymy sobie to rajskie życie, jakie posiada wielu ludzi szczęśliwych, którzy pobierają się jedynie z miłości. Szczęście nasze zależy jedynie od nas obojga, ponieważ my jesteśmy budowniczymi swego szczęścia i jego kontynuatorami, co możemy zdobyć jedynie przez prawdziwą miłość, która zwycięży wszelkie trudności, jakie będą nam towarzyszyły w zdobywaniu tego szczęścia ziemskiego.”

Ewa odpisała, musiała nawiązać do jakiegoś wydarzenia z życia Tadeusza, bo w kolejnym liście, po wstępie mężczyzna wyjaśnia: „Tak - faktem dokonanym jest, że w r. 1949 wprowadził mnie jak to nazwę w „ponure uroki życia”, zakładając mi na całe życie okowy, których ziemskie siły nie mogą tak z łatwością przemóc. Wszystko to stało się tak dlatego, że nie słuchałem własnych rodziców i innych osób, więc muszę obecnie cierpieć. Wiem, że teraz Pani będzie mnie unikać, pomimo że widzę w niej ideał taki jaki winienem zaskarbić sobie i być z nim na całe życie szczęśliwy. Gdy sięgnę myślą w dal i pomyślę o tym, że nie zdobędę tego, co jest jedynym mym marzeniem, to doprawdy żyć mi się nie chce. Jeden nierozważny krok w życiu to koniec szczęścia, za jakim człowiek goni.(...) Wiem, że uczucia moje, które są naprawdę szczere i prawdziwe będą może dla Pani powodem śmiechu lub drwin, dla mnie jednak pozostaną prawdziwe na całe życie i chociaż w ukryciu będą upajały się marzeniem o tej osobie, którą naprawdę kocham i tylko z nią mógłbym być szczęśliwy.” Niestety i jego ostatecznie pani Ewa nie wybrała. Serce dziewczyny zdobył niezwykle przystojny i śmiały poznaniak, który zawrócił w głowie pięknej złotoryjance tak, że kiedy J. oświadczył się – odpowiedziała „tak”.

Naszej rozmowie towarzyszył małżonek pani Ewy. Odgraża się, że pokaże swoje listy, których ma „parę kilometrów”. Kiedy pani Ewa otwiera kolejne listy, małżonek uśmiecha się i opowiada, jak to podczas odwiedzin narzeczonej spóźnił się do koszar z przepustki, bo... długo namawiał dziewczynę na konsumpcję narzeczeńskiego stanu, ale się nie udało. „Twarda była w swoim postanowieniu” – mówi pan J. i za chwilę dodaje: „Bo widzi pani, kiedyś dziewczyny bały się Boga, rodziców, znajomych i potrafiły wytrwać w czystości. A każdy chłopak chciał na żonę najlepszą, najbardziej godną i dlatego całe wspólne 60-letnie pożycie szanuję ją za to. Jestem dumny, że taka wspaniała dziewczyna wybrała właśnie mnie spośród grona swoich wielbicieli. To mi pochlebia. Cieszymy się, że nasza miłość odradza się w naszym potomstwie. To nasze największe ziemskie bogactwo.

Serdecznie dziękuję za rozmowę, zaufanie i powierzenie listów.

W części historycznej wykorzystano informacje z Internetu. Zachowano oryginalną pisownię listów.

Epistolografia:
1) sztuka pisania listów zgodna z obyczajem panującym w danej epoce czy środowisku,
2) dział piśmiennictwa zajmujący się listami i ich zbiorami oraz utworami literackimi pisanymi w formie listów.

Danuta Sosa

POŻEGNANIE

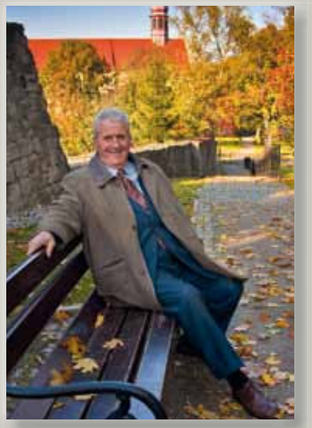

Krzysztof Zamojski urodził się w 1946 r. w Kaliszu. Był absolwentem Liceum Ogólnokształcącego w Kaliszu oraz Wydziału Chemii Politechniki Łódzkiej. W 1970 r., wraz z małżonką Haliną, przyjechał do Złotoryi, by odpracować stypendium fundowane przez Złotoryjskie Zakłady Wyrobów Filcowych. Przyjechał do miasta, w którym nigdy nie był, w którym nikogo nie znał, przyjechał – jak często powtarzał – na 3 lata, a pozostał 46 lat, do końca swojego życia.

ZZWF, w których Krzysztof rozpoczął pracę nie można porównać do zakładu z końca lat 90. Przed załogą była ciężka i twórcza praca. Ale dzięki dobrej koniunkturze na buty, dzięki dobrej pracy załogi, kadry kierowniczej zakład rozwijał się. Krzysztof Zamojski został dyrektorem zakładu już 1976 r. - zakład rozwijał się dynamicznie: inwestował w technologię, nowe wydziały, wybudował blok mieszkalny dla załogi, kupił pensjonat w Rewalu. Zakład stał się znaczącym producentem butów w Polsce, produkującym także na eksport.

W zakładzie pracę znalazło ponad 1000 osób. Pracę w ZZO Krzysztof Zamojski zakończył w 1997 r. Bardzo ubolewał nad tym, że po jego odejściu i po odwołaniu całego Zarządu w roku 1997 zakład upadł. I że przez 12 lat był likwidowany przez syndyka. W 1998 r. Krzysztof założył wraz z trzema wspólnikami spółkę, która zajmowała się produkcją butów. W obliczu olbrzymiego napływu obuwia z Azji, po 3,5 roku spółka ogłosiła upadłość.

Zarówno w czasie pracy zawodowej, jak i po jej zakończeniu Krzysztof Zamojski pracował społecznie; interesowało go wszystko to, co działo się w Złotoryi. W czasie pracy zawodowej jego zakład – jako zakład opiekuńczy – wspierał Szkołę Podstawową nr 1, Klub Sportowy *Górnik*, szczególnie piłkarzy ręcznych. Na emeryturze Krzysztof zaangażował się w pracę w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Przez wiele lat był członkiem Zarządu i wiceprezesem Towarzystwa.

To ważny okres w życiu Krzysztofa. Także dlatego, że dobierała się do niego od wielu lat choroba, wiele chorób. Mimo to, jeszcze jedną kadencję sprawował obowiązki radnego miejskiego. Służył swoim doświadczeniem burmistrzowi i nam wszystkim.

Jak pożegnać Krzysztofa Zamojskiego, który całe swoje dorosłe życie służył Ziemi Złotoryjskiej, którego podpis na rożnych dokumentach jest może u 10, a może u 20% mieszkańców. Był inżynierem, ale często myślał jak humanista. Grą na pianinie i śpiewem umilał spotkania towarzyskie, interesował się i wspierał chór *Bacalarus*.

29 kwietnia br. pożegnaliśmy jednego z wielkich złotoryjskich dyrektorów. Jednocześnie troskliwego ojca dwójki dzieci i dziadka trojga wnucząt, kogoś, kto utrzymywał żywe kontakty ze swoją liczną rodziną. Pożegnaliśmy mądrego, rozważnego człowieka. Pożegnaliśmy Wiceprezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Prochy Krzysztofa złożyliśmy do urny. Ale znacznie większa jego część - tak jak te jego podpisy, pozostała w naszych sercach, w naszych umysłach, w naszej świadomości.

Cześć Jego pamięci.

Aleksander Borys
W imieniu przyjaciół z TMZZ

Wspomnienie

To musiał być rok 2006. Dwóch jegomości, których raczej nie kojarzyłem, chciało, żebym pomógł im uczcić jubileusz Chóru Bacalarus. Jednym z nich był Prezes TMZZ (TMZZ?! – wówczas przez grzeczność nie dociekałem), drugim zaś **Krzysztof Zamojski** – wtedy, Krzysiek – parę miesięcy później. Czasem nie zdajemy sobie sprawy, że błahe, jedno z tysięcy zdarzeń, ma daleko idące konsekwencje. Kilka miesięcy później, w grudniu 2006 r. ruszyło Echo Złotoryi, które, co tu dużo mówić, wprowadziło pewien ferment w ustabilizowane życie miasta,
a jeszcze większy w życie mojej rodziny.

Od tego czasu, co jakiś czas wysłużona Astra Krzyśka wtaczała się na moje podwórko. Ile godzin przegadaliśmy w sumie o sprawach ważnych i nieistotnych? Dzisiaj to nie ma już znaczenia. Czasem drobiazgi urastały do rangi nierozwiązywalnych problemów, a innym razem sprawy trudne okazywały się nie takie znowu skomplikowane.

Ważne było, że na Krzyśka można było liczyć. Mógł się spóźnić, mógł zapomnieć ale zawsze,
jak mógł, to pomógł.

Trudnym był rozmówcą. Miał swoje ugruntowane poglądy. Argumenty często trafiały na mur niezrozumiałego konserwatyzmu. Ale nie dało się go nie lubić. Na drobne złośliwości reagował dobrodusznym oburzeniem.

Wychadzał pieniądze na Echo, męczył naszych sponsorów. Należał do tych, co popychali miesięcznik w momentach, gdy wydawało się, że to już koniec. Próżno go jednak szukać w stopce redakcyjnej. Trochę z boku, bez oczekiwania nawet na zwykłe „dziękuję”.

Nie znałem go jako dyrektora wielkiego złotoryjskiego zakładu lecz kogoś, kto w dramatycznych okolicznościach przestał nim być
i posłał ludzi, którymi kierował na bezrobocie. To, co znamienne, nigdy się z tym nie pogodził, tkwiło w nim to swoiste poczucie winy jak zadra. Starając się odbudować złotoryjskie buty, popadł w osobiste tarapaty. I nie próbował się z tego wykręcić wzorem wielu innych, lecz dzielnie ponosił konsekwencje. Ktoś, kto mógłby spokojnie żyć na emeryturze, nie wstydził się dorabiać jako ochroniarz. I choć może to obrazoburczo zabrzmi, za to go szczególnie szanuję.

Czasem dopiero po czasie jesteśmy w stanie docenić, jakie znaczenie miało spotkanie na swojej drodze konkretnego człowieka. Nigdy mu o tym nie powiedziałem. Mam tylko nadzieję, że po prostu to wiedział.

Robert Pawłowski

II Złotoryjskie Spotkanie Diabetologiczne

Drugie Spotkanie poprowadziła Monika Kaczmarek - prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetologicznego Koło w Złotoryi. W pierwszym rzędzie zasiedli przedstawiciele lokalnej władzy samorządowej, goście, prelegenci i organizatorzy. Aby spotkaniu, pomimo powagi tematu, dodać lekkości, wystąpił Paweł Orłowski z Legnicy i zespół teatralny „Sen Motyla".

W części szkoleniowej z pielęgniarek utworzono grupę w oddzielnej sali, których edukacją zajął się lekarz specjalista Piotr Piskozub - diabetolog. Pozostałymi zajęli się prelegenci, omawiając kolejno tematy: *Zdrowe serce w cukrzycy* – lek. spec. Urszula Maciejak, *ABC Diabetyka* – mgr Marta Leśnik – spec. pielęgniarstwa diabetologicznego, *Innowacje w edukacji* – mgr Stepanow dietetyk, *Jedz świadomie* – mgr inż. Katarzyna Ferensztajn-Pundyk – diabetyk, Magdalena Glińska – diabetyk, *Aspekty prawne w medycynie* – mgr Renata Mazurek-Kujawska – prawnik, *Zacznij od dziś* – aktywność fizyczna – mgr Maciej Sroka – instruktor.
Na zakończenie konferencji każda pielęgniarka otrzymała certyfikat.

Corocznie przynależność do Koła deklarują nowi członkowie. „Słodka rodzina" powiększa się i wzajemnie wspiera.

Spotkanie było długie i pracowite. Stracone kalorie wyrównano smakowitym i zdrowym poczęstunkiem. Hojni sponsorzy i wspierający przyjęli gorące podziękowania za udzieloną pomoc. Starosta Złotoryjski – Ryszard Raszkiewicz z Przewodniczącym Rady Powiatu – Zenonem Bernackim oraz Patron Honorowy – Burmistrz Miasta Złotoryja nie szczędzili ciepłych słów pod adresem wszystkich uczestników konferencji.

Zdjęcia z archiwum Koła Diabetologicznego

Danuta Sosa

Wizyta na Zamku Piastowskim

Na zaproszenie Wicemarszałka Województwa Dolnośląskiego – Tadeusza Samborskiego, w drugim dniu obchodów niezwykłego wydarzenia, na zamek przybyli autorzy trzeciego wydania wspomnień pierwszych osadników Gminy Pielgrzymka pt. „Przekazane wartości". II Dolnośląskie Dni Pionierów Osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych przypadające na dni 5-8 maja 2016 r. były wspaniałą okazją do zaprezentowania publikacji pod redakcją Wiolety Michalczyk, Małgorzaty Semeniuk i Sebastiana Dębickiego.

Dnia 6 maja na spotkaniu mającym niezwykle podniosły charakter obecni goście mogli przedstawić swoje prace w postaci kronik, pamiętników, wspomnień, filmów dokumentalnych, wydawnictw oraz ustnych relacji. Wśród występujących osób znaleźli się m.in. Jan Bujak, Zbigniew Kulik, Stanisława Zięcik, Stowarzyszenie Pierwszych Osadników Ziemi Dolnobrzeskiej, Joanna Ubowska oraz reprezentanci Gminy Pielgrzymka. W wystąpieniu swym dr Tadeusz Samborski – pomysłodawca i inicjator uroczystości - podziękował autorom za ogrom wykonanej pracy, a następnie dokonał ceremonii udekorowania Krzyżem Kresowym. KRZYŻE CZYNU ZBROJNEGO otrzymali także autorzy „Przekazanych wartości".

Uroczystość wzbogaciła wystawa autorstwa Marka Sadowskiego „Przybyliśmy, jesteśmy, będziemy", program artystyczny w wykonaniu Aurelii Sobczak i Stanisława Górki oraz spotkanie z twórcami filmu „Wołyń" i prezentacja jego fragmentów.

Sebastian Dębicki, Wioleta Michalczyk i Małgorzata Semeniuk udzielili wywiadu dla TVP Wrocław Studio Wschód, czego wynikiem był przyjazd Grażyny Orłowskiej-Sondej wraz z ekipą telewizyjną do Proboszczowa i przeprowadzenie wywiadów z bohaterami książki: Wandą Świerczewską i Janem Mateckim.

Małgorzata Semeniuk

„Główną wartością w życiu nie jest to, co dostajesz. Główną wartością w życiu jest to, kim się stajesz."

Pod takim mottem, autorstwa Jima Rohna, 26 kwietnia br. odbyło się spotkanie w Nowej Wsi Grodziskiej, którego gospodarzami byli Wioleta Michalczyk, Małgorzata Semeniuk oraz Sebastian Dębicki – autorzy trzeciego wydania wspomnień mieszkańców Gminy Pielgrzymka, tym razem pt. „Przekazane wartości". Wśród zaproszonych gości znaleźli się mieszkańcy gminy, przedstawiciele władzy gminnej – wójt Tomasz Sybis i złotoryjskiej w osobach starosty Ryszarda Raszkiewicza oraz Przewodniczącego Rady Powiatu – Zenona Bernackiego. Była też kilkuosobowa reprezentacja TMZZ oraz redaktorzy „Echa Złotoryi". Patronat honorowy objął Marszałek Województwa Dolnośląskiego - Tadeusz Samborski, którego obecność była jak najbardziej uzasadniona, bowiem publikacja ukazała się dzięki dotacji Urzędu Województwa Dolnośląskiego.
Spotkanie uatrakcyjniły występy zespołów śpiewaczych Polanki i Fudżijamki. Na podium zrobiło się kolorowo, a momentami całkiem wesoło za sprawą prześnych przyśpiewek i z humorem potraktowanym tematem relacji damsko-męskich. Jako wokalista sprawdził się Łukasz Dębicki – dziesięciolatek, który jako pierwszy pojawił się na scenie i rozkołysał publiczność piosenką „Tylko we Lwowie".

Ze strony organizatorów i pomysłodawców tego czasochłonnego projektu (49 biografii) usłyszeliśmy o kolejach gromadzenia relacji oraz zdjęć, ilustrujących życie rodzinne bohaterów książki. Dzieci z miejscowej szkoły zaprezentowały wybrane fragmenty opowieści i fakty z życia rozmówców.
Po części oficjalnej egzemplarze „Przekazanych wartości", wraz z różą, dyplomem gratulacyjnym i upominkami sprezentowanymi przez GOK w Pielgrzymce, trafiały kolejno do obecnych na sali bohaterów wywiadów (lub członków ich rodzin) - mieszkańców Pielgrzymki, Twardocic, Czapli, Nowej Wsi Grodziskiej, Jastrzębnika, Proboszczowa, Wojcieszyna.

Większości towarzyszyły dzieci i wnuki z zaciekawieniem przechwytujące i przekazujące sobie książkę z rąk do rąk. Obecność trzech pokoleń miała szczególne znaczenie, bowiem dobre relacje rodzinne w opowieściach seniorów pojawiały się najczęściej jako wartość nadrzędna, która ma swoje źródło w religijności i wojennej zawierusze, która rodziny dzieliła, skazując wielu na przymusową, niełatwą samodzielność. Posiadanie rodziny, wspólna praca na rzecz jej członków, wzajemnie świadczona pomoc, to wszystko wsparte dobrymi relacjami z sąsiadami, sprawiało, że życie w trudnych czasach było nie tylko znośne, ale miało też swoje niepowtarzalne chwile. Ponadto jako „niezbędniki życiowe" sędziwi mieszkańcy gminy wymieniają: naukę i dyscyplinę, szacunek dla starszych, uczciwość i prawdomówność, świętowanie niedzieli jako dnia dla Boga i rodziny, zachowywanie się stosownie do miejsca i chwili. Nie polecają - łakomienia się na cudze dobra, zabiegania o wygody i przywileje kosztem innych ludzi. Te wszystkie zalecenia i przestrogi, potwierdzane ludowymi mądrościami i przysłowiami, przyswajane za namową i dobrym przykładem rodziców, dawały poczucie przynależności do wspólnoty, jak i pozwalały z godnością dźwigać trudne role w życiu dorosłym. Zwłaszcza w czasach wszechobecnych ograniczeń i niedostatków dawały poczucie jako takiego bycia kowalem własnego losu.

Rodzinny przepis na życie

Grono obdarowanych powiększyło się, gdy wymienieni wcześniej przedstawiciele władz gminnych, powiatowych i wojewódzkich – także od siebie podziękowali Wiolecie Michalczyk, Małgorzacie Semeniuk, Sebastianowi Dębickiemu oraz Damianowi Komadzie (skład i montaż komputerowy, projekt graficzny okładki). Gratulacjom nie było końca, jednak poniesiony wysiłek i praca społeczna zasługiwały na wszystkie wypowiedziane pochwały.
Na zakończenie zebranych gości zaproszono na poczęstunek, ale to, co zobaczyliśmy na stołach, wprawiło nas wszystkich w przyjemne zdziwienie. Pyszności szybko znikały, ale na stole nic nie ubywało, gdyż panie z miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich na bieżąco uzupełniały smakołyki. Wszystkie potrawy wyglądały wybornie i tak też smakowały. Żal było opuścić miejsce takiej uczty.

Joanna Sosa-Misiak

Dolnośląska Drużyna Harcerek im. Jagusi Orłowiczównej w Złotoryi na pochodzie pierwszomajowym, Rynek Dolny - 1948 r.

Ze sztanbucha Edwarda Sosnowskiego

Rówieśnicy pana Edwarda opracowują biogramy swoich koleżanek i kolegów z czasów szkoły podstawowej. Inspiracją do takiego zapisu stało się spotkanie po latach na Jubileuszu 70-lecia Szkoły Podstawowej nr1 im. Marii Konopnickiej w Złotoryi. Wśród uwzględnianych jest pan Edward Sosnowski i jego żona Danuta z d. Puka. Pan Edward bardzo aktywnie uczestniczył w życiu miasta, o wielu sprawach wiedział z autopsji bądź przekazów osób bezpośrednio zaangażowanych w daną sprawę. Dzięki uprzejmości syna – Marka, mogłam zapoznać się z zapisaną historią ludzi i miasta. Dzięki tym zapiskom możemy skorygować relacje pierwszych osadników. Warto dodać, że w tych pierwszych powojennych latach w Złotoryi było kilku „kronikarzy". Szkoda, że nie udało się ocalić zdjęć zakamarków miasta, wykonanych przez pierwszych fotografów. Zatem te, ze zbiorów rodzinnych mieszkańców są bardzo cenne. Oby nie uległy zniszczeniu przy kolejnych porządkach.

Dzień 22 czerwca 1945 r., do Złotej Góry napłynęli pierwsi repatrianci z Krzywczyc lwowskich. Jedną grupą przybyli: Michalina i Jan Sosnowscy z Wandą i Edwardem, Helena i Władysław Pukowie z Danutą i Zbigniewem, Janina i Jan Pawlaczkowie, Stanisław Pawlaczek, Józefa i Andrzej Pawłowscy oraz Zofia i Franciszek Kabarowie. W mieście toczyło się życie, częściowo regulowane przez grupę operacyjną, uformowaną w Kielcach – mieście patronackim. Pan Edward odnotował przyjazd siedemnastoosobowej grupy operacyjnej z Kielc. Na czele grupy stał przedstawiciel SL – Antoni Skowron, który został później starostą złotoryjskim. Władysław Połeć zajął się organizacją PUR a Władysław Cieśla został kierownikiem Referatu Gospodarczego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. W mieście organizowało się życie - 16 maja 1945 r. kierownikiem Grupy Operacyjnej Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów (GOKERM) mianowano Stefana Dąbrowskiego, 12 czerwca Kazimierz Wiśniowski otworzył drukarnię, zaś Stanisław Bytner 19 czerwca uruchomił Gazownię Miejską. A kiedy Tadeusza Chodyrę powołano na Komendanta Powiatowego Milicji Obywatelskiej, ten 10 lipca 1945 r. przejął posterunek od komendanta radzieckiego. W owym czasie w Złotoryi mieszkało 100 Polaków. Dla odróżnienia się od innych nosili biało-czerwone opaski albo w klapie dwukolorowe wstążki. Lwowianie ich rodzin. Jedynie Sosnowscy uparli się, że chcą mieszkać w domu z ogrodem. Dopięli swego, zajmując pierwsze piętro wielorodzinnego domu przy ul. Katowickiej 6 (potem Wyszyńskiego i Okrzei, obecnie Wyszyńskiego). Tych szczęśliwych lokatorów odwiedziła studentka stomatologii, która dowiedziała się, że są ze Lwowa i poprosiła krajanów o nocleg. Taka życzliwość była powszechna i nieznajoma znalazła przytulisko. Z samego rana kobieta odeszła i powróciła z milicjantem, który nakazał opuszczenie domu, bo zostaje przekazany tej pani. Potem okazało się, że studentka była szabrowniczką i jeszcze tego samego dnia jej towarzysze zdemontowali na parterze wyposażenie gabinetów - stomatologicznego i ginekologicznego - i wywieźli w nieznane. Milicjant zaprowadził rodzinę Sosnowskich do uroczego domku obrośniętego winoroślą od podwórza, z ogrodem warzywno-kwiatowym i dwoma sadami sięgającymi na teren obecnej stacji paliw i Netto. Dom nie był pusty, mieszkała w nim Niemka z synem, która, jak się okazało, została kochanką owego milicjanta. Kiedy milicjant podał warunek, że mają kobietę i dziecko żywić aż do ich wyjazdu oraz umożliwiać niekrępujące ich spotkania, przybysze zgodzili się. Współżycie mieszkańców układało się pomyślnie (w 1976 r. przyjechał syn Niemki, by podziękować za opiekę w trudnym dla matki i niego okresie). Życie nabierało rozpędu. Dorośli podejmowali pracę. „Przy Chrobrego 1 (obecnie Legnickiej) wiedliśmy całkiem dobre życie" – zapisał pan Edward (domek pani Sosnowska wraz z bratem Józefem Sapińskim w 1976 r. otrzymała na własność jako rekompensatę za mienie pozostawione na Kresach). Myliłby się ten, kto by sądził, że żyli w dostatku - brakowało żywności, opieki zdrowotnej i warsztatów rzemieślniczych. PUR zorganizował darmową społeczną stołówkę w hotelu „Dom Społeczny", w budynku Rynek 5 (później plac Stalina, plac Wolności, obecnie Rynek). Siedziba PUR mieściła się pod numerem 5. Pan Edward w swoim opracowaniu zaprezentował zdjęcie, wykonane przez Józefa Stryszowskiego, pracowników PUR, niestety z 29 aż 13 nie zostało zidentyfikowanych w opisie. Pan Edward, wspominając pierwszą restaurację „Repatriantka", uruchomioną przez Janinę Pawlaczek i Antoninę Tyszkowską, opisał przykre zajście zaistniałe w lokalu. W 1950 r. jego szwagier Jan Pawlaczek, w towarzystwie lwowskiego „bajcaka", wypiwszy kilka kieliszków wódki, rozśpiewał się i razem dali koncert zakazanych lwowskich piosenek. „Kiedy doszli do słów <może uda się, że powrócę zdrów i zobaczę miasto Lwów> - zanotował pan Edward - z sąsiedniego stolika wstał UB-owiec i zabrał ich na przesłuchanie do budynku przy pl. Lotników Polskich 3. Potem, niestety, już nie było śpiewająco. Bity i maltretowany, trzymany po pas w wodzie został wypuszczony do szpitala. Po powrocie z sanatorium przeciwgruźliczego zmarł w 1950 roku, w wieku 36 lat". Kolejno powstawały następne lokale: Stefan Zagaj otworzył „Pioniera" przy ul. Mickiewicza nr 2 (później Praktyczna Pani), Zygmunt Myśliński przy Mickiewicza 7 (później Dom Towarowy, obecnie sklep), Bronisław Kramek przy Getta Warszawskiego „Piwiarnię" i Franciszek Białas na tejże ulicy (w miejscu obecnego PKO).

Danuta Sosnowska z d. Puka i Edward Sosnowski - 2010 r.

Dom przyznany za mienie pozostawione na Kresach (obecnie ul.Legnicka)

postanowili trzymać się razem i zamieszkali przy ul. Warszawskiej (obecnie Górniczej), jednakże już 1 lipca nakazano im opuszczenie domów, do których wprowadzili się „czubarycy" z rodzinami, a całe osiedle otoczono wysokim płotem. Wyrzucone z domów rodziny zajęły kolejne wolne domki przy ul. Hożej, ale i stąd po tygodniu zostali przegnani. Ostatecznie przybysze osiedlili się w kamienicach przy ul. Mickiewicza i Konopnickiej, dokąd przybywali kolejni członkowie

Podstawowym produktem codziennego menu Polaka był chleb, który wypiekały kolejno powstające piekarnie: prowadzona przez Zajferta, funkcjonuje do dzisiaj, przy placu Matejki. Inne to: Franciszka Misaczka przy ul. Mickiewicza 16, Józefa Czyżowskiego bez podania lokalizacji, a przy Piłsudskiego 9 wymienia właścicieli: Antoniego Walczaka, potem Zygmunta Wręczyckiego i Waldemara Wręczyckiego. Nie wymienia piekarni Bartosia przy ul. Krasickiego.

Otwierano zakłady usługowe. Pierwszym szewcem był Jan Sosnowski, który zajmował się obuwiem złotoryjan już od 12 lipca 1945 r., pod adresem Rynek 41, ale już po 10 dniach lokal oddał siostrze na restaurację, a sam zajął poniemiecki zakład szewski pod numerem 11. Kiedy przyjechał szwagier pana Jana – Józef Sapiński razem otworzyli pracownię obuwia, oprócz napraw wykonując obuwie „na obstalunek". Po wyjeździe wujka pana Edwarda, ojciec prowadził zakład przy placu Matejki 3 do 1954 r.. Później uruchomiono kolejne punkty z usługami szewskimi: Jan Skrzypecki przy ul. Solnej 6 (później warsztat przejął syn – Kajetan), przy Piłsudskiego 31 obuwie ratował Albin Zawadzki (głuchoniemy). Józef Gnatkowski miał swój warsztat przy Ryku pod numerem 51 (pan Edward nie wspomina o: Józefie Myślewskim - w starej kamienicy, na miejscu której obecnie działa Księgarnia, Józefa Hanasińskiego z ul. Solnej, Maruta z ul. Basztowej w miejscu obecnego sklepu z dewocjonaliami, ani Namięty z ul. Górnej. Wspomnienia spisane zostały w 1995 r. i uzupełnione w 2001 r., zatem zabrakło Stanisława Jackowskiego z ul. Mickiewicza i szewca z ul. Chopina).

Ponadto ruszyły inne specjalności: Józef Litwin świadczył usługi kowalskie przy ul. Wyszyńskiego 11 (autor wspomnień nie wymienia kuźni Ilnickiego przy ul. Krzywoustego i kuźni Michała Małego za przejazdem kolejowym k/dworca PKP). Już w lipcu małżeństwo Maria i Władysław Fijałkowscy uruchomili sklep spożywczo-cukierniczy w lokalu Rynek 2 o swojsko brzmiącej nazwie „Lwowianka". W lokalu Rynek 10 powstał kolejny pod nazwą „Kielczanka". Wanda Sosnowska uruchomiła sklep kolonialny przy ul. Garbarskiej 2. Wyroby mięsne oferował Józef Prokop w masarni przy ul. Piłsudskiego 29, tekstyliami kusił Władysław Łukasiewicz, zaś po numerem 37 w Rynku Żyd Paluch sprzedawał „wszystko". Pan Edward przywołuje Kazimierza Sarnę, ale nie podaje adresu i oferty sklepu.

Do Złotej Góry przybywali lekarze i rozwijała się struktura opieki zdrowotnej (organizację służby zdrowia opisywałam w styczniowym Echu Złotoryi 2013 r., zatem teraz dodam informacje nowe). Dr Henryk Borejko, przybyły z Wilna z wielkim oddaniem organizował opiekę medyczną. Poszukiwał pracowników, zdołał sprowadzić pierwszą dyplomowaną pielęgniarkę Marię Wolską-Bielską. Pan Edward opisał we wspomnieniach swoją przygodę. Otóż podczas ubierania choinki ukłuł się drutem w palec. Palec puchł coraz mocniej i bolał też coraz mocniej. Z ojcem wybrali się do szpitala, gdzie na dyżurze był chirurg dr Hrycenko (Rosjanin), obejrzał i powiedział: „nada obrjezat". Zrozumiał i uciekł ile sił w nogach. Przez dwa dni nie wracał do domu. Pożalił się pani Haluzowej (lwowiance) – pielęgniarce przy ginekologu doktorze Podolaku, która zorganizowała mu wizytę u „swojego" lekarza. Po drobnym oczyszczeniu rany i założeniu sączka palec „wyczyścił się" bez komplikacji. W 2001 r. autor zamieścił w opracowaniu spis lekarzy, którzy pracowali kiedyś lub ówcześnie. Pan Edward opisał kilka historii z życia Szkoły Podstawowej nr 1, którą ukończył z pierwszą grupą absolwentów. (Początki organizacji oświaty i historia szkoły zostały obszernie przypomniane w Echu Złotoryi od września do grudnia 2015 r. przy okazji Jubileuszu 70-lecia.) Z okazji 30-lecia założenia pierwszej szkoły odsłonięto tablicę na ścianie budynku przy ul. Konopnickiej. „Miałem zaszczyt odsłonić tę tablicę w towarzystwie późniejszej absolwentki Felicji Nenkin" – napisał pan Edward Sosnowski (autorka uczestniczyła również w tym wydarzeniu z pocztem sztandarowym ZNP).

Pan Edward wiele miejsca poświęcił opisowi życia religijnego w Złotoryi. Z województwa stanisławowskiego, z Rohatyna do Złotoryi przybył ksiądz Michał Dunas wraz ze swoim kościelnym Piotrem Budnikiem. Organistą był Konrad Bryja, późniejszy Bryjanowski. Mieszkańcy Rohatyna w większości osiedlili się w Legnicy i Chojnowie. Ponieważ na prośbę księdza parafianie zabrali wyposażenie kościoła, teraz można było wszystko przejąć do kościoła św. Jadwigi. I tak się stało. Pomimo że w kościele można było poczuć się jak w Rohatynie, to długo jeszcze przymocowane do ławek nazwiska niemieckie przypominały o niedawnych mieszkańcach. Pan Edward zapamiętał księdza jako dobrego kaznodzieję, który kazaniami wyciskał z oczu łzy. Dla tych kazań babcia pana Edwarda, Agata Pawlaczek przychodziła z Prusic pieszo. Chociaż ksiądz zachowywał powagę - lubił też żartować. Kiedy autor wspomnień załatwiał swój ślub, zapytał o koszty i usłyszał, że organista bierze 500 zł, a ksiądz „co łaska". Kiedy nadeszła godzina ślubu, młodzi i goście przybyli do kościoła i dowiedzieli się, że księdza nie ma, jest na meczu piłki nożnej. Leszek Plebankiewicz pojechał po księdza, a kiedy ten przyszedł, zapytał młodych: „dlaczego się spóźniliście?" Autor wymienił proboszczów do 2001 r., byli nimi kolejno: Michał Dunas 1945–1957, Onufry Stankiewicz 1957–1969, Zdzisław Kiwcz 1969–1971, Stanisław Jakubowski 1971–1986, Marian Sobczyk 1986-2013.

Pan Edward wspominał, jak bardzo był oddany harcerstwu. Uczestniczył w pracach porządkowych przy urządzaniu siedziby (późniejsze Przedszkole nr 1). Organizatorami pierwszych drużyn było małżeństwo Danuta i Edward Kowalczykowie, którzy zamieszkali przy ul. Basztowej. Pan Edward szył czapki a pani Danuta pracowała w PCK. Komenda Hufca była w ówczesnej Lignicy, a siedzibą Chorągwi był Wrocław „Zameczek". W 1947 r. harcerze przenieśli się do kamienicy przy ul. 3-go Maja 1. Do 1949 r. utrzymywano tradycje przedwojenne – skautowskie. Harcerzy intensywnie szkolono, wożono na biwaki i do pracy zarobkowej. W 1947 r. zmarła piętnastoletnia harcerka – Romana Chruślicka. Harcerze sami zorganizowali jej pogrzeb, a na jej grobie wybudowali pomnik z harcerską lilijką. Od kwietnia 1948 r. zaczęło się upolitycznianie młodzieży. Stopniowo ZHP włączano do ZMP. W roku 1949 zebrano wszystkich drużynowych we Wrocławiu i przedstawiono socjalistyczny charakter ZHP. Pozwolono wybierać: kto przyjmuje program, może jechać do domu, kto nie – zostaje. Ci co zostali, poszli nad Odrę i tam, przy ognisku, na sztandar ZHP złożyli przyrzeczenie, że w takim harcerstwie nie będą.

Pan Edward poświęcił wiele miejsca na omówienie powstania i rozwoju szkolnictwa ponadpodstawowego. Opowiedział historię powoływanych zakładów pracy i przytoczył kilka historyjek, które dodawały kolorytu miastu. Niektóre z nich weszły w slang złotoryjski, stały się wstawkami rozweselającymi w rozmowach starszych i młodszych. Ot, choćby historie związane z Żydem mikrej postury i członkiem ORMO. A było tak: „Icek Fajersztajn chodził po ulicach z pepeszą na ramieniu i pilnował porządku. Gdy musiał interweniować, krzyczał: <spokój – pełna lufa ognia - będę strzelał>. Pewnego wieczoru wstąpił do sali widowiskowej Domu Społecznego, gdzie odbywała się zabawa taneczna. Chłopcy z gimnazjum górniczego trochę rozrabiali, więc Icek postanowił wprowadzić ład. Niestety został przez nich rozbrojony. Chłopcy zabrali mu pepeszę i zanieśli ją na Milicję, mówiąc, że znaleźli na ławce. Rozbrojenie „stróża prawa" poszło łatwo, gdyż wiedzieli, że w „pepeszy" nie ma amunicji. W późniejszych latach Icek Fajersztajn był kierownikiem robotniczego hotelu „Lena", który mieścił się w budynku przy ul. Marii Konopnickiej 22, a później przy ul. Sikorskiego 4."

Wycieczka szkolna na Chojnik - 1949 r.

Pan Edward zajął się także historią zakładów pracy, nie będę ich przytaczać, bo znajdą się w oddzielnym opracowaniu. Jednakże podkreślić należy, że pierwszym dyrektorem ówczesnej Fabryki Kapeluszy został Antoni Miszczak. (Autorka rozmawiała telefonicznie z byłym dyrektorem podczas pisania artykułu o złotoryjskich trojaczkach - Echo Złotoryi 10/2012). Pierwotnie w Państwowej Fabryce Kapeluszy i Stożków, później w Złotoryjskich Zakładach Obuwia pracowała Danuta Sosnowska jako technik technolog a małżonek – Edward Sosnowski pracował w kopalni „Lena", której imię nadano, jak głosi legenda, od imienia żony oficera rosyjskiego, który na terenie kopalni zmarł, zostawiając niedokończony list. Pan Edward przytoczył relacje Jana Malatyńskiego: „W Wilkowie w mieszkaniu sołtysa odbyło się zebranie dziesięciu młodych mężczyzn z dyrektorem kopalni inż. Drożdżem, po czym wyjechaliśmy (wspólnie ze Stanisławem Kubickim, Lechterem, Janem Galusem i in.) na kilkudniowe przeszkolenie do Świdnicy. Wróciliśmy wyposażeni w karabiny i rozpoczęliśmy pracę." Jako strażnicy przemysłowi. Kiedy zaczęto przywozić pompy do kopalni (sowieci zdemontowali i wywieźli poniemieckie) dużą pomocą służyli przedwojenni pracownicy i tacy jak Ignacy Merta przywieziony do kopalni w 1940 r.

Życie w Złotoryi i okolicznych miejscowościach organizowali pierwsi osadnicy i kolejni przybysze. Warto przywołać kilka wydarzeń z Kalendarium. Już 24. 11. 1945 r. przyjechał pierwszy pociąg z Legnicy, 13.08.1947 r. Komenda Powiatowa MO przeniosła się do budynku przy ul. Staszica 2, 1947 r. wojska radzieckie opuściły Złotoryję, 3.12.1949 r. ruszyła łaźnia miejska w budynku SP1, 29.12.1949 r. wybuchł pożar dachu kościoła św. Jadwigi od płonącej choinki organisty K. Bryjanowskiego, 18.05.1952 r. uruchomiono linię kolejową z Jerzmanic Zdr. do ZG „Lena" (5 pociągów dziennie), w 1952 r. ekshumowano żołnierzy Armii Czerwonej na cmentarz w Chocianowie, 1.09.1954 r. oddano po odbudowie spalony przez żołnierzy radzieckich budynek szkolny przy ul. Kolejowej, 4.03.1956 r. spaliła się od pieca świetlica Dom Robotnika ZZWF – Rynek 50, w 1958 r. przekazano kościół NNMP parafii katolickiej, w 1959 r. powstał rezerwat na Wilczej Górze, 12.01.1972 r. zlikwidowano kino „Ucieczha", 11.12.1976 r. czwórka akrobatyczna została Mistrzami Świata, w 1978 r. wyeksponowano pozostałości zbiorów Schmeterlinga ofiarowanych miastu, 10.05.1984 r. funkcjonariusze SB spalili samochód kardynała Henryka Gulbinowicza (na podwórku kompleksu kościoła św. Jadwigi), 25.09.1987 r. przeprowadzono sesję naukową „Złotoryja - dzieje miasta i regionu". Przedstawiono plan pracy nad monografią Złotoryi, w 1997 r. TMZZ wydało „Dzieje Złotoryi", 01.01.2001 r. Złotoryja liczyła 17 290 mieszkańców.

Państwo Danuta i Edward spoczywają na złotoryjskim cmentarzu, odeszli w roku 2011 i 2013.

Dziękuję panu Markowi Sosnowskiemu za udostępnienie zdjęć i wspomnień ojca. PP Czytelników proszę o uzupełnienia, ewentualne sprostowania i udostępnienie do kopiowania zdjęć z pierwszego powojennego dziesięciolecia.

Opracowała: Danuta Sosa

Fot. z albumu Sylwii Bober

Poszliśmy na otwarcie Powiatowego Domu Kultury

Drodzy czytelnicy!

W styczniowym numerze „Echa" pojawiła się wzmianka, że pracuję obecnie nad kontynuacją „Opowieści złotoryjskiej". Owszem, to prawda. O czym będzie tym razem? Historia opisana w „Opowieści" kończy się wyjściem głównego bohatera z więzienia w październiku 1956 roku. Naturalną koleją rzeczy, druga część rozpoczyna się właśnie w tym okresie, a planuję doprowadzić ją do roku 1980. Zależy mi na tym, aby każdy kolejny rok zaistniał jakąś historią. Oczywiście, to już inne czasy, inne troski i inne radości. Mimo że nasi krajanie wciąż żyją w totalitarnym państwie, to ich życie toczy się już wokół zupełnie innych spraw, ale nie zmienia to faktu, iż to wciąż ci sami ludzie. Bo czy można wyobrazić sobie Tadeusza nie pakującego się wciąż w nowe kłopoty albo Zygmunta, któremu życie nie rzuca kłód pod nogi? A jak potoczyły się losy rodziny Schöllerów? O tym wszystkim będziecie się Państwo mogli dowiedzieć już wkrótce. Mam nadzieję, że podobnie jak poprzednio, i tym razem książka zostanie dobrze przyjęta.

Uległem pokusie uchylenia rąbka tajemnicy i przedstawienia Państwu niewielkiego jej fragmentu. 1 maja minęła 59. rocznica otwarcia Powiatowego Domu Kultury, który dziś nazywamy ZOKiR-em. Poniżej możecie Państwo przeczytać, jak ja sobie je wyobrażam i co przy tym przeżywał Zygmunt Siezieniewicz.

Przy tej okazji chciałbym poinformować, że ukazał się dodruk „Opowieści" i można ją nabyć w złotoryjskiej księgarni.

Andrzej Wojciechowski

1 maja poszliśmy z Polą na otwarcie Powiatowego Domu Kultury, zwanego przez wszystkich *Pedekiem.* Byłem bardzo podekscytowany, bo budowlę podziwiałem już od kilku lat. Teraz – gdy została ukończona – aż mnie świerzbiło, żeby w końcu wejść do środka i zobaczyć, jak prezentuje się wewnątrz. Uroczystość otwarcia rozpoczęła się dokładnie w południe, tak by wszyscy chętni, zdążyli się przebrać po pochodzie. Kiedyśmy wyszli z domu, słychać było już jakieś przemówienie. Nie jestem szczególnym miłośnikiem tych wszystkich oracji ku czci, ale w tym wypadku działało ono na naszą korzyść. Gdyby można było wchodzić wcześniej, tłum zapewne skutecznie by nam to teraz uniemożliwił. Tymczasem zza rogu Basztowej wyszliśmy dokładnie w chwili, gdy jakiś ważny gość przecinał wstęgę. My po kilku krokach sunęliśmy z falą, i nie wiedzieliśmy kiedy znaleźliśmy się w środku.

Ach, cóż to był za widok! Hol zrobił na mnie wrażenie nie do opisania. Patrzyłem urzeczony na wielkie okna i wytworną antresolę, nie czując nawet, że jestem wciąż potrącany przez idących gdzieś gapiów. Na szczęście Pola, widząc otwarte drzwi i wchodzących w nie ludzi, pociągnęła mnie za rękaw. Weszliśmy do sali widowiskowej, wciąż przerażeni wielkością tego, co widzimy i nie pamiętam już, jak Pola, ale ja zamarłem. My, złotoryjanie, mieliśmy oto swoją własną *Kongresową,* wielką jak dwa boiska piłkarskie. Szybko usiłowałem policzyć rzędy, ale przy dwunastym się pogubiłem. Nagle z widowni ktoś zaczął nas wołać – nie miałem wątpliwości, że słyszę imię swoje i żony. Wyszukałem wzrokiem krzyczącego. No jakże! Któż inny mógł być pierwszy między pierwszymi, jeśli nie Tadeusz? Siedział w środkowym rzędzie, zajmując płaszczem kilka sąsiednich foteli. Przecisnęliśmy się jakoś i usiedliśmy obok niego. Teraz dopiero poczułem się jak Rothschild na honorowym miejscu w *La Scali*. Przed sobą widziałem jak na dłoni scenę, a gdy się obejrzałem, bezkresną widownię i coś, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi – balkon, na którym sadowiła się właśnie kolejna grupa widzów.

Mogłoby się zdawać, że te tłumy ściągnęły tu, by wysłuchać przemówienia I sekretarza, niejakiego Klata, ale mimo że to ono zaczęło akademię, było tylko mgnieniem w gąszczu atrakcji, jakie nas czekały. Gdy tylko wybrzmiały brawa po ostatniej zaplanowanej przemowie, na scenę wybiegły gospodynie z jakiegoś zespołu ludowego. Nie powiem, żeby mi się ten występ podobał, ale tego dnia nic i nikt nie był mi w stanie zepsuć humoru… do czasu. W pewnym momencie zupełnie się już chyba rozluźniłem, rozciągnąłem się wygodnie i spojrzałem w górę. W jednej chwili mój cudowny nastrój prysł. Powodem tego traumatycznego doświadczenia był gigantyczny talerz, który budowniczowie postanowili odwrócić spodem do góry i jakoś go tam pod sufitem przymocować. I właśnie to mocowanie zaniepokoiło mnie najbardziej. Jak i czym go przyklejono, czy tam przykręcono? Oczyma wyobraźni widziałem, jak odrywa się i spada, grzebiąc nas żywcem. W myślach modliłem się, by roztańczone gospodynie nie tupały tak bardzo, bo tylko kuszą los.

Występ się zakończył i na scenie pojawił się znów jakiś wodzirej, by zapowiedzieć kolejną atrakcję – film *Skarb*. Publiczność klaskała wyrażając uznanie, a ja kurczyłem się w fotelu. Dla innych to niemal dwie godziny rozrywki – dla mnie niemal dwie godziny strachu i to pod warunkiem, że po filmie nie wymyślą czegoś jeszcze. Byłem zły na siebie, że dałem się namówić na przyjście, na Tadeusza, że zajął nam miejsce i w końcu na organizatorów, że tak długo nas trzymają. Miałem już niemal pewność, że to zaplanowana próba wytrzymałości z niczego nieświadomą widownią. Zwróciłem się ku Poli:

– Nie boisz się, że spadnie? – szepnąłem jej do ucha, kierując wzrok ku górze.

Pola machnęła dłonią i z uśmiechem przecząco pokręciła głową. „Czyli zrozumiała, ale się nie boi" – tłumaczyłem sobie. Trudno: miłość miłością, małżeństwo małżeństwem, ale skoro żona nie chce ujść z życiem, nie będę jej przymuszał. Ja jestem zobowiązany, by się wyrwać – chociażby po to, by troszczyć się o dzieci.

Zanim zaczął się film, część ludzi wychodziła, część wchodziła, robiąc przy drzwiach małe zamieszanie. Skierowałem wzrok w tamtą stronę i wypatrzyłem panią Sobalę – staruszkę, którą znałem jeszcze z pionierskich czasów. W jednej chwili wstałem i podbiegłem do niej.

– Niech pani zajmie moje miejsce! – powiedziałem najuprzejmiej, jak umiałem. – Ja jestem młody, mogę postać – usiłowałem raczej bezskutecznie wywołać uśmiech na swej twarzy.

Byłem gotów wyjść, bo film już kiedyś widziałem, ale gdy się obróciłem i zauważyłem przeciskającą się między rzędami starszą panią, tknęły mnie wyrzuty sumienia. Przecież pchnąłem ją prosto w objęcia śmierci. Spojrzałem w górę i stwierdziłem, że talerz jeszcze się trzyma, a ja – dziękować Bogu! – stoję poza jego obrysem. Postanowiłem, że jednak zostanę i w razie czego będę pomagał w akcji ratowniczej. Byłem to winien starszej pani, jak też i Poli. Do końca filmu stałem, podpierając ścianę. Na szczęście po napisach końcowych publiczności udało się bezpiecznie ewakuować – to znaczy, spokojnie wyjść – a ja w oczach Poli zostałem dżentelmenem, z nonszalancją ustępującym miejsca staruszkom.

Od tamtej pory byłem wiele razy na tej sali, czy to na filmie, czy na jakimś występie. Zawsze starałem się, o ile to możliwe, wybierać miejsce na balkonie, a jeśli nie było takiej ewentualności, to w którymś narożniku, byle nie pod tym przeklętym talerzem.

Fot. z kroniki ZOKiR

Fot. Damian Komada

Franciszkańskie bramy

Niech Pan Cię obdarzy pokojem, bracie, który wchodzisz przez bramę.

Pisanie o bramie to bardziej pisanie o roli bramy; jako tej, która zamyka i otwiera pewną przestrzeń. Brama oddziela dwa światy, nieraz bardzo odległe od siebie. Światy, które według zamysłu autora powinny jakoś pozostać niezależne i osobne. Brama łączy je, ale też i oddziela. Przecież to cały świat „przed bramą" i „za bramą". Brama to coś, przed czym się stoi, i przed czym się czeka. Zasadniczo zabrania wejścia, gdy jest zamknięta, a szeroko otwarta jest zaproszeniem samym w sobie. Otwarta brama to znak radosnego oczekiwania, powitania. Brama podkreśla również pewien ogrodzony teren. Zamknięty, a jednak w tym miejscu otwarty. Zastać otwartą bramę to znaleźć wyjście i wejście. To szczęście, gdy jest otwarta dla gościa.

Brama jest też miejscem, w którym spotykamy różne symbole, często niezrozumiałe dla nas. Nasza nowa brama i bramka prowadząca do kościoła św. Jadwigi zawiera symbole związane z życiem Braci Mniejszych. Znak TAU – to coraz częstszy motyw w naszym kościele. TAU to litera alfabetu greckiego i hebrajskiego, symbolizująca krzyż. Znak TAU przejął św. Franciszek podczas Soboru Laterańskiego IV (na którym zakon św. Franciszka został zatwierdzony) pod wpływem mowy papieża Innocentego III, nawiązującej do Proroka Ezechiela (Ez 9,4-6), i zawierającej wezwanie „bądźcie więc bojownikami TAU i krzyża". Literą TAU znaczył Franciszek siebie na znak pokuty. Umieszczał TAU jako swój podpis na listach, dokumentach (np. autograf błogosławieństwa dla br. Leona, przechowywany w Sacro Convento w Asyżu). TAU stał się niejako programem życia Franciszka. Św. Bonawentura tak to przedstawia: Mąż Boży znak ten otaczał szczególną czcią, często mówił o nim w swoich przemówieniach, kreślił go na początku swych zajęć i własnoręcznie podpisywał tym znakiem listy, które wysyłał z miłością, jak gdyby całą jego troską było - według wyrażenia Proroka (Ez 9,3) – nakreślić znak TAU na czołach ludzi płaczących, bolejących, a autentycznie nawróconych do Jezusa Chrystusa. Dzisiaj symbol ten jest noszony na piersiach ludzi związanych z duchowością franciszkańską.

Nieopodal bramki widzimy jeszcze jedną taukę – znajduje się na trawniku obok krzyża misyjnego. To realizacja oryginalnego pomysłu o. Tyberiusza Pietrasa. Trzeci znak TAU – prezent złotoryjskich rzemieślników – zdobi filar prezbiterium w kościele św. Jadwigi (o czym szczegółowiej w sąsiednim artykule).

Innym symbolem, który znajduje się na naszej bramce są skrzyżowane ręce, a pośrodku nich umieszczony krzyż. To jest herb franciszkański – dwie przebite dłonie – to dłoń Chrystusa i św. Franciszka – człowieka, który tak się upodobnił do Chrystusa, że otrzymał stygmaty – widoczne znaki męki Chrystusowej na dłoniach, stopach i na piersi. Krzyż pośrodku łączy te dwie postaci.

Zawołanie „pokój i dobro" – to najbardziej rozpoznawalne franciszkańskie słowa. Dzisiaj, witając się, mówimy – niech Pan Cię obdarzy pokojem albo zwyczajnie pokój i dobro. Po tym poznają nas, franciszkanów, że nie tylko głosimy to hasło, ale nim żyjemy. Pokój i dobro to słowa pełne zaproszenia, zachęcające do przekroczenia bramy i wejścia w krąg duchowości franciszkańskiej. Oby coraz bardziej rozpoznawalnej w Złotoryi.

O. Bogdan Koczor, franciszkański proboszcz

Cech świętego Franciszka

Złotoryjscy rzemieślnicy powitali z radością powrót franciszkanów. To wydarzenie zbiegło się z wyborem nowego zarządu Cechu Rzemiosł Różnych. Kontakty z zakonem nawiązał najpierw Starszy Cechu Andrzej Piekut, aby scalenie środowiska oraz pomyślność władz cechowych wspomagały wspólne msze święte.

Pierwsze takie nabożeństwo odbyło się w październiku 2014 r. To właśnie wówczas rzemieślnicy ofiarowali kościołowi św. Jadwigi oraz zakonowi symbol TAU, wykonany z orzecha amerykańskiego przez warsztat stolarski Władysława Majocha, Podstarszego Cechu. Pomysł takiego właśnie prezentu zrodził się u Andrzeja Piekuta oraz Przemysława Markiewicza. W kościele stawił się m.in. poczet sztandarowy cechu, złożony z uczniów cechu: chorążemu Damianowi Krzeszowskiemu towarzyszyli Krzysztof Walczak i Dawid Nowicki.

Niebawem Andrzej Piekut zaprojektował nową bramkę z kilkoma franciszkańskimi symbolami (patrz artykuł o. Bogdana Koczora), prowadzącą na dziedziniec przed kościołem. Jej wykonaniu poświęcił się ślusarz Zygmunt Apostoluk wraz z synami Damianem i Krzysztofem oraz ślusarzem Andrzejem Podsiadło. Została zamontowana tuż przed Wielkanocą 2015 r. i od razu stała się elementem franciszkańskiej atmosfery (wyobrażamy sobie, jak w następnych stuleciach kolejne pokolenia, tak ja my, zwracać będą uwagę na datę „2014"). Wszystkie koszty pokrył Cech Rzemiosł Różnych. W styczniu 2016 r. Zygmunt, Damian i Krzysztof Apostolukowie wykonali oraz założyli większą bramę (ze znakami TAU), również według projektu Andrzeja Piekuta, wiodącą na dziedziniec.

12 grudnia 2015 r. złotoryjscy rzemieślnicy spotkali się na drugiej mszy św. w ich intencji. Tym razem ofiarowana została kopia obrazu św. Józefa z katedry legnickiej. Poczet sztandarowy tworzyli Krzysztof Walczak, Damian Abramek i Patryk Żukowski. Gośćmi byli Prezes Dolnośląskiej Izby Rzemieślniczej Zbigniew Ładziński oraz Starosta Ryszard Raszkiewicz. W strojach organizacyjnych przybyli przedstawiciele Polskiego Bractwa Kopaczy Złota. Po nabożeństwie, w jednej z odnowionych salek na plebanii, odbyło się opłatkowe spotkanie uczestników nabożeństwa. Specjalnie z tej okazji na jednej ze ścian umieszczono pierwszy złotoryjski powojenny sztandar cechowy z 1946 r. Nestor złotoryjskich rzemieślników, emerytowany elektryk Jan Szemiot otrzymał najwyższe odznaczenie rzemieślnicze – Platynowy Medal im. Jana Kilińskiego. O przyjemną atmosferę zadbali złotoryjscy cukiernicy: Karolina Hładuńska oraz Waldemar Chmielowski.

W 2016 r., gdy mija 70-lecie złotoryjskiego cechu, jego członkowie nie zapominają o tradycyjnych już spotkaniach z tutejszymi franciszkanami. Gospodarze klasztoru z wdzięcznością przyjmą pomoc np. przy remoncie kamiennego murku, otaczającego dziedziniec…

Roman Gorzkowski

Rogaliki

Składniki:

0,5 kg margaryny, 1 kg mąki, 15 dag drożdży, 1 szklanka mleka, 3 łyżki cukru, 3 jaja, gęsta marmolada, jajko do smarowania

Przygotowanie:

Tłuszcz rozpuszczam i chłodzę, drożdże rozrabiam w letnim mleku z cukrem i odstawiam do wyrośnięcia. Mąkę przesiewam do miski, dodaję rozczyn i jajka, zarabiam ciasto. Dolewam tłuszcz i zagniatam, aż ciasto go wchłonie. Zawijam zagniecione ciasto w ściereczkę i zanurzam w dużej ilości wody. Kiedy wypłynie na powierzchnię dzielę na części, każdą wałkuję grubiej niż na makaron, kroję w trójkąty, na każdy kładę trochę marmolady na szerszym końcu i zwijam rogaliki. Układam na natłuszczonej blaszce, smaruję rozkłóconym jajkiem i piekę na złoty kolor.

Janina Ardelli

Fot. Roman Szpala

Od lewej: o. B. Koczor, Z. Ładziński, A. Piekut, J. Szemiot, R. Raszkiewicz, Z. Apostoluk

III Złotoryja Dance Arts Festiwal - prawa fizyki nie działają

Już trzeci raz w pewną kwietniową sobotę siły ciążenia przestały działać na scenie Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji. W ten dzień, 9 kwietnia br., około czterech setek specjalistów od łamania praw fizyki z całego kraju przybyło do naszego miasta. To uczestnicy **III Złotoryjskiego Dance Arts Festival** organizowanego przez **Fundację Rozwoju Człowieka TROOD** przy współpracy ze **Złotoryjskim Ośrodkiem Kultury i Rekreacji** oraz **Street Dance Academy**, pod patronatem Burmistrza Miasta Złotoryja – **Roberta Pawłowskiego.**

Międzynarodowe Jury

impreza jak zawsze potrwała cały dzień, aż do wieczora, kiedy to ogłoszono wyniki, a burmistrz wręczył zwycięzcom dyplomy, puchary i nagrody.

Główną nagrodę: 600 zł otrzymali Kacper Chmielowski i Gracjan Szumiński ze Złotoryi. Sami byli zdumieni i najwyraźniej nie mogli w to uwierzyć, ale jak ktoś widział ich występ to nie miał żadnych wątpliwości.

Wykonawców i tym razem oceniało międzynarodowe Jury. W jego składzie znalazła się Paula Gorgoń, która ma na swoim koncie wiele tanecznych osiągnięć i posiada duże doświadczenie jako nauczyciel. Między innymi współpracowała z MissAndyeJ oraz przy projekcie „Dance socially engaged - Video Project TROOD Foundation & ESK Wrocław 2016", tańczyła także na trasie koncertowej Honoraty Skarbek „My Name Is MIllion Tour". Drugim jurorem był Nico O'Holi, zaproszony prosto z Londynu. To pełen energii, zawsze uśmiechnięty młody tancerz i choreograf. Jest członkiem Black Light Society, grupy stworzonej przez mentora setek tancerzy Tony'ego Tzar. Jego umiejętności i profesjonalizm zostały docenione przez czołowych choreografów świata. Trzecim jurorem została ponownie Aneta Mazur, która współpracuje z Teatrem Muzycznym „Capitol" we Wrocławiu („Nine", „Ścigając zło", „Mistrz i Małgorzata").

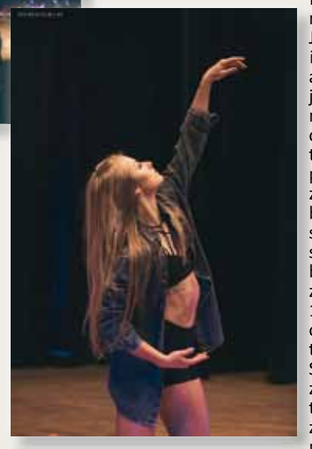

Tancerka grupy hip-hopowej „SCANDAL" oraz zawodniczka AZS'u Wrocław w Gimnastyce Estetycznej. Choreograf kilku oper w Filharmonii Wrocławskiej im. Witolda Lutosławskiego.

Jednak serca tancerek skradł przesympatyczny Nico, który po zakończeniu konkursu i rozdaniu nagród chętnie ustawiał się do zdjęć z uczestnikami Festiwalu. W następnym dniu poprowadził warsztaty taneczne dla chętnych, podczas których podzielił się swoją wiedzą i techniką.

Magda Zwolińska, jedna ze złotoryjskich uczestniczek Festiwalu powiedziała: *„Moje wrażenia po warsztatach z Nico były zdecydowanie bardzo pozytywne. To świetny choreograf z poczuciem humoru i pogodnym podejściem do życia. Sprawił, że pomimo wysiłku te zajęcia były czystą przyjemnością".* Magda swą przygodę z tańcem zaczęła w zespole „Łau" już w szkole podstawowej, ale styl, w którym prezentowała się na tych zawodach, trenuje od momentu, kiedy przeszła do szkoły tańca Streed Dance Academy, czyli od ok. 2-3 lat. *„Moim zdaniem poziom zawodów jest wysoki. Do naszego małego miasteczka przyjechało wielu dobrze przygotowanych tancerzy z różnych stron Polski."*- mówi.

O godzinie 10.00 burmistrz Robert Pawłowski oficjalnie otworzył Festiwal, mówiąc, że stał się on *„znaczącym punktem na mapie roztańczonej Polski"* i życząc uczestnikom występów na maksimum ich możliwości, a nawet wyżej. I tak się stało.

Atmosfera powagi i skupienia, ale też pewnej nerwowości panowała już na korytarzu i w holu przed salą kinową. Za drzwiami frontowymi, boso, ćwiczy grupa dziewcząt w zwiewnych strojach. Jedna z nich, Kasia Nocoń tłumaczy mi, że tańczą Jazz (SDA JAZZ z Wrocławia), jest to ich pierwszy występ, a na scenę wychodzą jako ostatni i to z numerem 13, ale oczywiście, że jest to liczba szczęśliwa, poza tym już trochę zmarzły, bo stroje są bardzo przewiewne. Na szczęście na widowni i scenie atmosfera jest bardzo gorąca (w finale zajęły 5 miejsce powyżej 15 lat). Dalej w holu ostatnie uwagi rzuca trener grupy „M&Ms" ze Street Dance Academy z Wrocławia: „Pilnujcie twarzy! Patrzycie...i zatrzymujecie." Dalej następuje korekta tych, którzy robią to za późno, za wcześnie, nierówno ...ale dacie radę! (4 miejsce w kategorii do 11 lat). *„Ćwiczą dopiero od września"* - jak zdradza mi z dumą, mama jednej z uczestniczek.

Dorota „Doris" Jezierska, instruktorka przygotowująca grupę „MOUN INIK" (także z SDA z Wrocławia) podkreśla, że ten Festiwal jest wyjątkowy ze względu na różnorodność stylów i form tańca, które tutaj są prezentowane. Jej grupa trenuje styl Ragga, który swoje korzenie wywodzi z Jamajki (4 miejsce w kategorii pow. 15 lat).

Ta cecha Festiwalu komplikuje oczywiście zadania jurorom, którzy muszą posiadać szeroką wiedzę i porównywać różne style. Co jurorzy biorą pod uwagę w swojej ocenie, wie najlepiej Karolina Bieńkowska z Gorzowa Wielkopolskiego, trenerka grupy „Power Kids", która w ubiegłym roku zdobyła I miejsce w kategorii do 11 lat.

„Mam tutaj pod opieką dwie grupy „Zozole" i „Power Kids", tańczymy Hip-Hop i Dance Mix. W zespole liczy się przede wszystkim dynamizm, mocne uderzenie, zgranie grupy, synchronizacja ruchów. Oceniana jest także choreografia i to, czy dźwięk został wytańczony. Więc dobór muzyki jest bardzo ważny. Ten festiwal jest wyjątkowy także pod względem bogactwa nagród. Rok temu dostaliśmy kamerę i wielkiego miśka." Mówi z uśmiechem, nie przerywając jednak pilnej obserwacji swoich „mocnych dzieciaków" trenujących na scenie. W tym roku „Zozole" zdobyły 1 miejsce w kategorii do 11 lat, a „Power Kids" 2. w kat. 12 - 15 lat.

W holu, przy zorganizowanym dla gości i uczestników Festiwalu sklepiku spożywczym,

Wręczenie nagród

obsługiwanym przez Joannę Dyk (pomocną kuzynkę organizatorki Festiwalu Aleksandry Roś) spotykam małych członków złotoryjskiej grupy „Dropsiki" (3 miejsce w kategorii do 11 lat). Grupa ta powstała w wyniku realizowanego już od kilku lat, przez złotoryjską Fundację Rozwoju Człowieka TROOD, przy współpracy ze Street Dance Academy z Wrocławia, projektu „Złotoryja Tańczy". Na moje

Zespół M&Ms

(może trochę naiwne) pytanie o różnice pomiędzy różnymi stylami tańca rezolutna Zosia Tur odrzekła „Jak to, nie wie pan? Przecież Street Dance to taniec uliczny, a Jazz tańczy się na scenie!". Teraz to dla mnie jasne, no ale w końcu nie muszę się znać na wszystkim.

„Każdy taniec wyraża jakieś emocje" – mówi mi solistka Magda Zwolińska, występująca także z formacją „zaTROODnieni" (4 miejsce w kategorii 12 – 15 lat) – *„W przypadku piosenki, do której tańczyłam, są one raczej smutne, związane z tęsknotą, miłością i przemijaniem. Jednak tańcząc nie zastanawiam się nad tym, co chcę przekazać, ale w pełni oddaję się nastrojowi piosenki i emocjom z nią związanym. Myślę, że widzowie również w tańcu, na który patrzą, odnajdują swoje uczucia i swoje własne interpretacje. Sama układałam choreografię, ale ostatnie poprawki wniósł do niej nasz choreograf Michał Czyżewski".*

Zespół SDA JAZZ

Wielu artystów, których spotkałem w trakcie trwania Festiwalu, chciało swoim tańcem coś przekazać, opowiedzieć historię, opisać jakieś zjawisko. Bosonogie tancerki z SDA JAZZ marzły, bo ich lekki strój miał wzmocnić ich taneczny opis kobiecości. Dynamizm i mocne uderzenie Hip-Hopu charakteryzuje szybkie, pełne energii, a czasami niebezpieczne życie miejskiej ulicy. Sprzeciwia się niesprawiedliwości i protestuje przeciw nierównościom społecznym i dyskryminacji. A „Dropsiki"? Co wy opowiadacie w swoim tańcu, pytam Zosi?. *„Ja nie wiem, to nasi trenerzy panowie Czyżewscy robią nam choreografię"* – mówi i gdzieś znika.

Jednak największe wrażenie zrobiła na mnie opowieść Marii Król, roziskrzonej dziewczyny pomalowanej w egzotyczne motywy florystyczne, pasujące do wzoru na jej stroju. Marysia należy do ekipy z Teatru Avatar z Legnicy. Wspólnie z koleżanką Emilią Cichoń same opracowały choreografię, dobrały muzykę, wymyśliły i opowiedziały tańcem historię o samotności i potrzebie bycia z kimś. *„Na początku wymyśliłyśmy sam koncept, nie wiedziałyśmy jeszcze, jaka muzyka, jaka choreografia. Pomysł był taki, że kiedy pojawia się w naszym życiu inna osoba, potrafi je całkiem zmienić, pokazać jego inną stronę, natchnąć energią i odbudować je. Jedna osoba leży na scenie, budzi się w innym świecie i nie wie, co się dzieje, jest zagubiona i przerażona, druga osoba ożywia leżącą postać, pomaga się jej odbudować i ochrania ją w dalszym życiu. Najpierw miałyśmy być ludźmi, potem jakimiś istotami, ale tak naprawdę to, kim jesteśmy, oddajemy do własnej interpretacji widzom."* Ada Pankowska, solistka z ich ekipy, zajęła 6. miejsce w kat. powyżej 15 lat, duet Marii i Emilii nie dostał się do finału.

Wręczenie nagród - Grand Prix

Wróciła Zosia z „Dropsików": *„Pytałam trenera.* – mówi z zapałem – *My nic nie opowiadamy! Tańczymy po prostu najlepiej jak umiemy!"*

Organizatorką i koordynatorką Złotoryja Dance Arts Festival z ramienia Fundacji Rozwoju Człowieka TROOD, jest jak zawsze **Aleksandra Roś.**

Michał Czyżewski z SDA zajął się oprawą artystyczną. Całą imprezę prowadził Kuba Woźniak, a przy rejestracji pomagała Agnieszka Ardeli wolontariuszka ze stowarzyszenia „Nasze Rio". Fotografią zajęła się Sylwia Żyłka a muzyką DJ Tadeusz Krawczuk. Jarosław Roś zatrudniony został do oprawy technicznej.

Organizatorzy dziękują za dużą pomoc otrzymaną z Urzędu Miasta Złotoryja, Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji oraz Street Dance Academy z Wrocławia, a burmistrzowi miasta za objęcie patronatu nad imprezą oraz wsparcie finansowe.

Osobne podziękowania należą się sponsorom:
Pałac Krotoszyce - niesamowite miejsce - sprawdźcie sami!
SDA WEAR - gdzie znajdziecie ciekawe ciuchy nie tylko dla tancerzy.
Grunwald24 - jak coś drukować to tylko u nich!
A&B FotoFly Anna Bobowska - zatrzymaj z nią czas - Fotografia uczy patrzeć na świat inaczej...
Nord-Wacht Group - z nimi jesteś bezpieczny.

Dzięki sponsorom Festiwal wyróżnia się nie tylko wysokim poziomem artystycznym, ale też różnorodnością i wartością nagród.

Zespół MOUN INIK

Jarosław Jańta
Foto: Sylwia Żyłka

Agnieszka Młyńczak i Cezary Skała w replikach strojów z epoki napoleońskiej przyciągali rzesze ludzi do stoiska

Targi turystyczne

W maju nasze miasto miało okazję zaprezentować swoje produkty turystyczno-kulturalne: 6-7 maja w Jeleniej Górze na XVIII Międzynarodowych Targach Turystycznych TOURTEC oraz 13-15 maja na Targach Turystyki Weekendowej ATRAKCJE REGIONÓW w Chorzowie.

Dojazd na targi oraz wynajem stoisk wystawienniczych zapewnił Urząd Miejski w Złotoryi. Nasze miasto reprezentowała grupa: Anna Ardelli i Magdalena Majewska z Urzędu Miejskiego, Marzena Feliksiak i Sylwia Dudek-Kokot z Centrum Informacji Turystycznej, Agata Orlewska z Qubus Hotel oraz po raz pierwszy członkowie Stowarzyszenia Historycznego 3. Pułku Piechoty Legionu Irlandzkiego Cudzoziemskiego – Agnieszka Młyńczak i Cezary Skała. Ci ostatni jako nieustanni propagatorzy epoki napoleońskiej, a szczególnie śląskiej kampanii napoleońskiej z 1813 r. Dodatkowo w Chorzowie był zespół Ars Saltandi z instruktorką Katarzyną Fassą.

Odwiedzający zawsze chętnie z nami rozmawiali

Za materiały promocyjne służyły liczne broszury, mapy, zdjęcia, jak też numery *Echa Złotoryi*. Na naszym wyposażeniu były narzędzia do płukania złota, natomiast Agnieszka Młyńczak i Cezary Skała wystąpili jako żywe eksponaty, bowiem mieli na sobie repliki strojów z epoki napoleońskiej. Strojami tymi przyciągali rzesze ludzi, którzy zbierali się koło naszego stoiska, powodując zatory, bowiem wszyscy chcieli mieć z nimi zdjęcie, porozmawiać albo chociaż dotknąć niecodziennych ubrań.

W Jeleniej Górze stoiska namiotowe były ustawione na Rynku. Na szczęście dopisała pogoda i na targi przyszło mnóstwo odwiedzających, zwłaszcza że wszystkie materiały można było dostać za darmo, jak też poczęstować się smacznymi produktami regionalnymi. W sumie w targach wzięło udział 90 wystawców, którzy prezentowali produkty regionalne, atrakcje turystyczne oraz oferty wypoczynku z różnych regionów Polski, Czech i Niemiec.

W Chorzowie wielki namiot wystawienniczy, podzielony na boksy, został umiejscowiony w Parku Śląskim; tutaj udział wzięło 120 wystawców. Tym razem pogoda nie dopisała, było pochmurno i bardzo zimno. Na szczęście pod namiotem było ciepło, więc nasze tancerki z Ars Saltandi mogły bez przeszkód zaprezentować średniowieczną sztukę tańca. Po występie porwały publiczność, aby razem z nią hasać średniowiecznie. Ochotnicy nauki tańca mogli się przekonać, że taniec wieków średnich wymaga równie dużego wysiłku, co tańce współczesne. Nasze dziewczyny zebrały mnóstwo braw.

Podczas tych targów okazało się, że niewielu odwiedzających wie o istnieniu Złotoryi słynącej ze złota. A już o kampanii śląskiej Napoleona w 1813 r. i funkcjonowaniu grup rekonstrukcyjnych słyszały tylko pojedyncze osoby. Mieliśmy więc ogromną przyjemność opowiadać odwiedzającym targi (głównie Ślązakom) o naszym pięknym mieście i jego atrakcjach. Zainteresowanie było bardzo duże, zwłaszcza że mieliśmy świetną ofertę. Mianowicie można było wylosować weekend w Qubus Hotel w Złotoryi po nadesłaniu na adres CIT Złotoryja jednej z trzech kartek promujących nasze imprezy z odpowiedzią na bardzo proste pytanie: *Jak nazywa się muzeum znajdujące się w Złotoryi?*

Tylko na targach turystycznych broń mogli skrzyżować Duch Gór Karkonosz i oficer napoleoński

Cała nasza ekipa tak w Jeleniej Górze, jak i w Chorzowie, dwoiła się i troiła, aby zainteresować odwiedzających ofertą Złotoryi. Nie tylko wręczaliśmy drukowane materiały promocyjne, ale też – przede wszystkim – rozmawialiśmy z ludźmi, zachęcając do odwiedzenia nas. I mimo – a może dzięki temu – że mieliśmy mikroskopijny boks, a przejścia między nimi były bardzo wąskie, zdołaliśmy zatrzymać na dłużej przy naszym stoisku wielu, bardzo wielu odwiedzających. Trzeba zaznaczyć, że w obu targach zabrakło reprezentantów Bractwa Kopaczy Złota, zwłaszcza że miasto głównie było reklamowane jako *złote miasto*. Z pewnością wzbudziliby sensację w swoich pięknych średniowiecznych strojach, oferując wypłukanie z wody drobinki złota. Szkoda. Natomiast my mieliśmy niekłamaną satysfakcję podczas opowiadania o naszej Złotoryi i jej atrakcjach. Kilka osób od razu zapowiedziało swój przyjazd do nas, a inni – bardzo byśmy tego chcieli – gdy zapoznają się w domu z materiałami promocyjnymi, które od nas otrzymali, też nas odwiedzą.

Zespół Ars Saltandi zebrał dużo braw

Nasza ekipa dwoiła się i troiła, aby zainteresować odwiedzających ofertą Złotoryi pomimo mikroskopijnego stoiska

Mamy nadzieję, że w przyszłym roku też będziemy mogli wziąć udział w takich targach. Wtedy przygotujemy się jeszcze lepiej. Już teraz mamy sporo nowych pomysłów, w jaki sposób lepiej promować nasze piękne miasto.

tekst: Agnieszka Młyńczak
zdjęcia: Cezary Skała, Sylwia Dudek-Kokot

Warsztaty kresowe

W ramach obecnie realizowanego w Pielgrzymce projektu „Smaki i nuty tradycji" w Sali Gminnego Centrum Kultury, odbyło się niecodzienne spotkanie z młodym historykiem –pasjonatem Kresów - panem Tomaszem Szymaniakiem. W bardzo ciekawy sposób przedstawił on historię Kresów oraz część miejscowości, z których pochodzą i mają swoje korzenie rodziny obecnie mieszkające w Pielgrzymce. Przygotowana prezentacja "Kresy Wschodnie – wspólne dziedzictwo Rzeczpospolitej, ojczyzny wielu narodów" przyciągnęła uwagę przybyłych mieszkańców Gminy Pielgrzymka oraz gości. **Warsztaty kresowe** pozwoliły przypomnieć i upowszechnić wiedzę o dorobku polskiej kultury kresowej. Prelekcja oraz dyskusja na temat miejscowości na Kresach przybliżyły młodszemu pokoleniu miejsca pochodzenia ich przodków.

Bardzo wiele rodzin zamieszkałych po II wojnie światowej na terenie gminy Pielgrzymka wywodzi się z Kresów. Nie wszyscy, szczególnie młodsze pokolenie mieszkańców, znają historię miejsc, z których przybyli ich przodkowie na Ziemie Zachodnie. W trakcie spotkania mówiono między innymi o Lwowie, Samborze, Gródku Jagielońskim, Oknie, Sokalu, Ostapiu, Rodatyczach. Wspomniano również takie miejscowości jak: Kołomyja, Stanisławów, Podhajce, Białokrynica. Podjęty został również temat Sanktuarium w Poczajowie.

W trakcie warsztatów wspominano również o tym, co zostało w sercach Polaków, którzy musieli zostawić swoje rodzinne domy i kochaną ojczyznę. Po raz kolejny wspomniane i przybliżone zostały przywiezione z Kresów tradycje.

Serdecznie dziękujemy za spotkanie Panu Tomaszowi Szymaniakowi, który obiecał dalszą współpracę związaną z tematyką Kresów – ziem naszych przodków.

Ewelina Niklewicz-Dębicka

W tanecznym rytmie życia

„Tańczymy to, co akurat jest grane, chociaż czasami w rytmie złym"- to prawda, że z łatwością poddajemy się rozszalałej karuzeli życia, zatracając się w chocholim tańcu, który wprowadza nas w marazm, nie pozwalający zachować trzeźwości myślenia. Zdarza się, że zmierzamy po trupach do celu, jak tancerz, który stracił kontakt z rzeczywistością. Trudno jest nam wyrwać się z tego letargu, bo taniec porywa i wciąż trwa, i trwa... Przebudzenie czasami jest dla nas bolesne, ale może lepiej wziąć zimny prysznic, by przestać krzywdzić siebie i tych, którzy w wir chocholego tańca zostali nieopacznie wciągnięci.

Mówi się, że życie to taniec. Jest w tym dużo prawdy. Dzieciństwo to radosny walc, który z lekkością unosi tych, co rozpoczynają ziemską wędrówkę. Falują oni na trampolinie życia jak barwne motyle, które jeszcze nie wiedzą, co to zło. Dzieci otoczone rodzicielskim kokonem dotykają leciutko stopami ziemi, unosząc się ponad koniecznością rozumienia zasad obowiązujących w tańcu życia. Młodzieńcze dojrzewanie można by porównać do szalonej czaczy. Życiowy taniec zdecydowanie wtedy przyspiesza, a taneczne kroki czasami prowadzą na manowce. Szukając właściwego rytmu, popełniamy wiele błędów, ale jednocześnie nabieramy doświadczenia, które pozwala na zachowanie życiowej równowagi.

Dorosłość to walc angielski. Jego piękno, harmonia i melodyjność to cechy które, gdy tylko o to zadbamy, i los będzie nam sprzyjał, mogą wyznaczyć kierunek dojrzałego etapu naszego życia. Zazwyczaj wtedy już wiemy, jak stawiać kroki, by podążać za rytmem tańca partnera czy partnerki. Zgodnie z zasadami walc to taniec dla dwojga i jeśli chcemy, by sprawiał nam radość, trzeba tańczyć go tak, by nie deptać sobie po palcach. Przecież nadepnięcie na odcisk to ból nie do zniesienia. A jaki jest taneczny rytm starości? Może jest w niej trochę z tanga, a może coś z wojskowego marsza. Oba te tańce łączy dostojność i rytmiczność. Gdy zmierzamy do kresu wędrówki, wracają do nas wspomnienia młodości, które są jak powtarzalność figur w tangu. Siła marszowego kroku, wybijana uderzeniami werbla, to symbol życiowego doświadczenia i mądrości, które są największymi przywilejami schyłku życia.

Paulo Coelho powiedział: „O tańcu nie da się pisać (...) taniec trzeba tańczyć. Tańczmy więc taniec naszego życia, by choć czasami poczuć jego rytm i siłę. Bawmy się życiem tak, jak bawimy się tańcem. Niech korowód codzienności sprawia nam wiele radości i zaskakuje tysiącem barwnych zdarzeń, przyprawiających o zawrót głowy. A gdy przytrafi nam się wpaść w chocholi marazm, pamiętajmy, że zawsze możemy się odrodzić i zacząć wszystko od nowa.

Markosia

Kronika

26.04.2016 r. w świetlicy wiejskiej w Nowej Wsi Grodziskiej odbyła się promocyjna gala trzeciej części wspomnień pierwszych osadników w gminie Pielgrzymka, zatytułowanej „Przekazane wartości".
27.04.2016 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi obchodziła Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich.
27.04.2016 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi wraz z Ogniskiem Muzycznym zorganizowała koncert muzyczny „Wiosna w duszy mi gra".
29.04.2016 r. Zespół Szkół Zawodowych w Złotoryi znalazł się na liście głównej Narodowej Agencji Programu Erasmus+ i otrzyma dofinansowanie na realizację stażu pt: „Regionalne strefy ekonomiczne szansą na zatrudnienie złotoryjskich absolwentów".
01-03.05.2016 r. Złotoryjska Majówka 2016. ZOKiR oraz różne organizacje przygotowały imprezy dla wszystkich grup wiekowych.
03.05.2016 r. odbył się rowerowy rajd rodzinny z okazji rocznicy uchwalenia konstytucji 3 Maja.
03.05.2016 r. w Pielgrzymce najmłodsi zawodnicy Unii Pielgrzymki walczyli w ogólnopolskim turnieju łucznicznym młodzików.
04.05.2016 r. na szczeblu powiatowym rozstrzygnięto XVIII edycję Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego dla Dzieci i Młodzieży 2015/206 pod hasłem „W trosce o nasze bezpieczeństwo".
06.05.2016 r. w Złotoryi ruszył pierwszy etap Wyścigu Szlakiem Grodów Piastowskich.
06–07.05.2016 r. Miały miejsce międzynarodowe targi turystyczne Tourtec 2016 w Jeleniej Górze, na których swoją ofertę prezentowała Złotoryja.
07.05.2016 r. w Szkole Podstawowej w Sokołowcu, świerzawskie koło Towarzystwa Przyjaciół Dzieci obchodziło swoje 20. urodziny.
07.05.2016 r. w Hali Sportowej „Tęcza" odbył się IV Rekreacyjny Turniej Tenisa Stołowego Aktywni 50+.
08.05.2016 r. strażacy z Prusic obchodzili 70-lecie istnienia OSP w Prusicach.
09.05.2016 r. w Szkole Podstawowej w Nowym Kościele odbył się coroczny Gminny Konkurs Matematyczny Uczniów Klas IV–VI szkół podstawowych z terenu gminy Świerzawa.
10.05.2016 r. 17 uczniów Szkoły Podstawowej nr 3 zostało wyróżnionych w międzynarodowym konkursie Kangur Matematyczny 2016.
12.05.2016 r. uczennice ze Szkoły Podstawowej w Świerzawie: Lena Flisak, Eliza Kopeć, Kamila Pietrzak i Antonina Rozpędowska zostały Wicemistrzyniami Dolnego Śląska w Aerobiku Rekreacyjnym.
12.05.2016 r. uczniowie z Zespołu Szkół w Wojcieszowie przemaszerowali barwnym korowodem ulicami miasta w pięknych, średniowiecznych strojach z okazji 1050-lecia Chrztu Polski.
13.05.2016 r. w sali widowiskowej ZOKiR odbył się Powiatowy Konkurs Piosenki Obcojęzycznej.
13.05.2016 r. w Ośrodku Parafialnym GRAPA w Nowych Łąkach odbył się koncert zespołu „Golec Orkiestra".
13-15.05.2016 r. pracownicy złotoryjskiego Centrum Informacji Turystycznej promowali nasze miasto podczas targów turystycznych w Chorzowie.
14.05.2016 r. V Noc Muzeów w Muzeum Złota w Złotoryi.
14.05.2016 r. mieszkańcy Nowego Kościoła kolejny raz posprzątali stary cmentarz.
14.05.2016 r. w Hali Sportowej „Tęcza" odbył się Międzynarodowy Memoriał im. Michała Stalskiego w Piłce Ręcznej.
20.05.2016 r. w sali widowiskowej ZOKiR odbyła się uroczysta akademia z okazji Powiatowego Dnia Strażaka.
20.05.2016 r. złotoryjski hotel Qubus zorganizował bezpłatne warsztaty dla młodych par z zakresu organizacji uroczystości ślubnych i weselnych.
22.05.2016 r. Polskie Stowarzyszenie Diabetyków Koło w Złotoryi razem ze Złotoryjskim Ośrodkiem Kultury i Rekreacji zorganizowało spektakl Teatru „Złoty Motyl": „Sen Motyla".
22.05.2016 r. w Kościele NNMP w Złotoryi miał miejsce koncert Pieśni Chóralnej wykonany przez Chór „BACALARUS".
24.05.2016 r. w siedzibie Złotoryjskiego Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej odbył się wernisaż Wystawy grafiki pana Artura Golińskiego.
25.05.2016 r. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi odbył się wernisaż wystawy Anny Janic „Intuicja reminiscencji".

Opracował: ***Jarosław Jańta***

Martin Thabor w Złotoryi

Martin Thabor (1524–1579) - trójjęzyczny humanista, matematyk, astronom, filozof, teolog, kronikarz, absolwent dwóch uniwersytetów, nauczyciel i rektor Gimnazjum Humanistycznego w Złotoryi, niestrudzony autor modlitw, wierny naśladowca Valentina Trozendorfa i wydawca jego dzieł. Niezwykła postać w dziejach XVI - wiecznej Złotoryi… i ciągle nie ma swojego biogramu. Czas okazać mu więcej zainteresowania.

Martin Thabor urodził się 9 listopada 1524 r. w Głogowie. Naukę rozpoczął w rodzinnym mieście. Robił tak szybkie postępy, że już w wieku 13 lat został wysłany na studia do Wittenbergi (1537-1539). Potem w celu rozwijania swoich matematyczno - astronomicznych uzdolnień kontynuował naukę na Uniwersytecie Jagiellońskim (1539-1541). Po dwóch latach wraca na Uniwersytet w Wittenberdze (1542-1546) i studiuje teologię oraz język łaciński, grecki i hebrajski. Studia kończy 25 lutego 1546 r. z tytułem magistra .

11 listopada 1546 r. zostaje powołany na stanowisko nauczyciela matematyki i astronomii w Gimnazjum Humanistycznym w Złotoryi. W tym czasie kadra pedagogiczna składała się z rektora Trozendorfa oraz sześciu nauczycieli: jurysty, grecysty, sferysty (astronoma), retora, katechety i kantora (muzyka). Wiemy, że astronom Martin Thabor otrzymywał roczne uposażenie w wysokości 70 marek. Poeta i kolega szkolny **Johannes Clajus napisał o jego pracy:** *Elementy astronomii wprowadza, Czym to przywołuje tłumy matematyków*. Natomiast pastor **Georgius Tilenius podkreślił praktyczny charakter prowadzonych lekcji:** *Podczas nocy, gdy złote gwiazdy wysiały wóz, wyprowadzał z zamiłowaniem tłumy studentów, pokazując im pozycję gwiazd i opisując ich okręgi.* Umiejętności astronomiczne Thabora były tak wysokie, że został przydzielony przez księcia pruskiego Albrechta Hohenzollerna do pomocy Erasmusowi Reinholdowi przy opracowywaniu tablic astronomicznych według obliczeń Mikołaja Kopernika. Znakomite dzieło ukazało się w 1551 r. pod nazwą *Tablice Pruskie* i stało się podstawą do opracowania nowego kalendarza gregoriańskiego z 1582 r. **Uczeń Thabora – Lourentius Ludovicus, wspominając swój pobyt w złotoryjskiej szkole** zaraz po wielkiej zarazie z 1553 r. podał, że ten trudny czas głodu nie był dla niego problemem gdyż: *[…] Własnie w tym czasie Valentin Trozedorf, Martin Thabor oraz Georg Helmrich, nauczanie języków i sposoby wysławiania podnieśli w szkole złotoryjskiej na najwyższy poziom […]. Tak więc ci ludzie, których słuchałem z wielką uwagą, w tym licznym zgromadzeniu uczniów, zwłaszcza prawa ręka Trozendorfa, Martin Thabor: przyczyniał się hojnie poprzez moc przelanej miłości do wypełniania obowiązków i zadań.* Należy więc uznać, że Thabor radził sobie doskonale. Już z tych kilku wzmianek wyłania się obraz nauczyciela o ogromnej wiedzy i znakomitych umiejętnościach.

Martin Thabor był człowiekiem wszechstronnych uzdolnień… Gdy znajdował się w samym centrum najtragiczniejszych wydarzeń w dziejach Złotoryi , to jak przystało na astronoma, wszystko uważnie obserwował i skrupulatnie zapisywał. W ten sposób stał się trochę z przypadku kronikarzem. To właśnie jemu zawdzięczamy bardzo dokładne opisy wielkiego pożaru miasta z 17 lipca 1554 r. czy wielkiej zarazy z 1554 r. Jego relacje stanowiły potem bezcenne źródło informacji dla największych dziejopisarzy Złotoryi. Wielką pasją Thabora było też pisanie wspaniałych modlitw. Układał je przy okazji chorób, śmierci i pogrzebów wybitnych złotoryjan, odbudowy szkoły, zarazy czy pożarów miasta. Uwielbiał też popisywać się językiem hebrajskim. **Clajus, uzasadniając wydanie swojej *Prozodii*** (książki o pisaniu wierszy) z przykładami hebrajskimi, wyjaśnił: *[…] dla żartów sam Rektor Martin Thabor, mój ojciec chrzestny, wszystkie czynności stale czcił i w języku hebrajskim podawał, usilnie proponując, że jemu ani nie chciałem, ani nie mogłem odmówić […].*

Katarzyna Strobel - żona Martina Thabora (mal. Magdalena Hanebach, 1998)

Martin Thabor bardzo dobrze odnalazł się w Złotoryi na gruncie towarzyskim. **Już w 1548 r. poślubił Katarzynę Strobel (1510-1577) - wdowę po Georgu Helmrichu, burmistrzu Złotoryi.** W ten sposób wszedł do jednego z najbardziej wpływowych złotoryjskich rodów. Przy okazji został w wieku 24 lat ojczymem szóstki dzieci (dorosłych lub nastoletnich): Georga (1526-1580), Johannesa (1530-1603) oraz zmarłych w dzieciństwie Josiasa, Elżbiety, Anny i Marii. Szybko doczekał się też z Katarzyną własnego syna Martina Thabora Młodszego (1549-1598). Szczególnie bliskie stosunki utrzymywali Taborowie z rodziną Zachariasza Bartha (1529-1612) - wieloletniego burmistrza Złotoryi (1566-1609). Żona Thabora, Katarzyna Strobel oraz żona jego pasierba Johannesa, Izabela, zostały matkami chrzestnymi najstarszej córki Bartha, Elżbiety (1554). Także pasierb Georg został chrzestnym kolejnej Elżbiety (1562). Również sam Thabor był ojcem chrzestnym dzieci Bartha: Barbary (1560) oraz jednego z bliźniaków - Zachariasza (1564), którego płyta nagrobna znajduje się na murze złotoryjskiego cmentarza. Zwieńczenie tych wieloletnich zażyłości stał się 11 lutego 1583 r. ślub córki Bartha Justyny (1565-1601) z synem Thabora, Martinem Thaborem Młodszym (zw. Notariuszem).

Oprócz wpływów opartych na powiązaniach rodzinno – koleżeńskich, Thabor szybko uzyskał też bespośredni lub pośredni dostęp do eksponowanych stanowisk. Przez trzydzieści lat był nauczycielem gimnazjalnym (1546-1579) oraz w międzyczasie pełni funkcję rektora (1556-1558, 1563-1579). Ponadto w latach 1550-1551 został wprowadzony do Rady Miejskiej. W 1564 r. jego pasierb Johannes Helmrich został po raz pierwszy burmistrzem Złotoryi. Będzie ten urząd sprawował przez prawie 40 lat (1564-1598) na zmianę z kolegą i krewnym Thabora – Zachariaszem Barthem (1566-1609). W ten sposób Thabor stał się ważną osobistością. Jego kariera stanowi znakomity przyczynek do badań nad funkcjonowanie złotoryjskich elit 2. poł. XVI w. Już pobieżne zapoznanie się z występującymi tam powiązaniami upoważnia nas do stwierdzenia, że był to rodzaj *układu zamkniętego*, w którym Thabor, jego rodzina i najbliżsi znajomi, przez prawie 50. lat zarządzali miastem i szkołą.

Martin Thabor należał do najbardziej zaufanych współpracowników Trozendorfa. Dlatego po śmierci wielkiego rektora w 1556 r. został uznany za naturalnego następcę. Sam jednak nie chciał tego stanowiska, gdyż *nie śmiał się mierzyć z wielkim mistrzem i miejsce jego zastąpić.* **Jeszcze na pogrzebie Trozendorfa prosił:** *Boże Święty, i ukoi nieszczęścia, następujące po śmierci tak wielkiego męża. I powołaj na jego miejsce innego, żeby z tą samą wiarą i rzetelnością młodymi ludźmi mógł zarządzać […].* Pomimo tego apelu, przez pół roku gimnazjum nie miało kierownika. Wiemy jednak, że wszystkie obowiązki i tak spadły na Martina Thabora. Z ogromnym zaangażowaniem kontynuował dzieło swojego poprzednika. Przede wszystkim musiał zrealizować dwa zadania: dokończyć odbudowę spalonej szkoły i sprowadzić uczniów z Legnicy do Złotoryi. Do jesieni 1556 r. prace były już tak zaawansowane, że mógł wprowadził uczniów do nowego budynku i odmówić **modlitwę w intencji powrotu szkoły z Legnicy do Złotoryi, 28 października 1556 r.:** *Dziękujemy Ci z całego serca, że stoisz zawsze przy swoim Kościele i szkołach głoszących Twoją naukę, że łagodzisz zasłużone kary [...]. Bo Ty przez nasze winy zrównując ogniem miejsce to po swym sprawiedliwym sądzie, poruszyłeś gdzie indziej serca pobożne, aby w swej pobożności otoczyły opieką tę nędzną szkołę […]. Pozwól, aby uczący się żyli w Twojej łasce, a dążący do wiedzy i przyzwoitości okazywali posłuszeństwo i pilność podczas nauki. A ponieważ zniszczona ogniem szkoła zgodnie z Twoją wolą straciła swego wodza i nauczyciela, czcigodnego Valentina Trozendorfa, rozbudź, prosimy, innych i kieruj nimi Duchem Świętym, aby wiemie i należycie prowadzili młodzież i nauczali ją w trakcie niezbędnej, zbawiennej, przez Ciebie zaaprobowanej nauki [...].*

Dopiero po przeniesieniu szkoły do Złotoryi, **książę Jerzy II powierzył oficjalnie Martinowi Thaborowi stanowisko rektora, 25 listopada 1556 r. w liście:** *[…] Szczerze nam wierny Magistrze Martinie Taborze, profesorze szkoły w Złotoryi, jako zdołano nam wyczerpująco donieść, że będziesz się miał tutaj wystarczająco ostrożnie.*
I tak w pierwszej kolejności, jego prośbę o zatwierdzenie tego znakomitego objęcia […] nakazujemy uczynić. […] aby teraz was zaprotegować uda się do Złotoryi starosta [...] i postanowienie ogłosi, jako to my mianujemy Martina Tabora przydzielając jego na rektora i akceptując, tym samym także nadaną moc i władzę [...].

Po tym wyborze **Clajus zapisał:** *Współtowarzysza powołują, który godnego pamięci [Trozendorfa] przypomina.* Pierwszy rektorat Thabora trwał zaledwie dwa lata. Wiemy, że w tym czasie w szkole panował porządek oraz były rozwijane nauki matematyczno-astronomiczne. W 1558 r. Martin Thabor rezygnuje z funkcji rektora. **Clajus podał:** *Z urzędu rektora ten dobry człowiek sam zrezygnował, jednak jak przedtem naszym kolegą szkolnym pozostał.* W latach 1558-1563 funkcję rektora przejął Henryk Paxmann (1531-1580). Z tego okresu pochodzi relacja **Michaela Neandra o gościnności Martina Thabora i złotoryjskich profesorów:** *[…] po śmierci Trozendorfa zajęli się w Złotoryi, zarządzaniem szkołą doktor medycyny Paxmannus, i głogowianin Magister Martin Thabor, mężowie wielce uczeni, […] oraz kilka innych osób […]. Oni to, uradowani moim przybyciem, nie tylko zapraszali mnie na rozmowy i uczty, ale również niektórzy z nich, nie mogąc zaspokoić w tak krótkim czasie swego zapału i zamiłowania do dysputy, ponieważ chciałem wracać do swojej szkoły w Ilfeldzie, odprowadzili mnie do Bolesławca, miasta oddalonego, o ile się nie mylę, o trzy mile od Złotoryi, a spędziwszy z nami noc jedną w gospodzie, wszystkie koszta, które tego wieczora tamże ponieśliśmy, opłacili i obficie swojej życzliwości dowiedli.*

Rezygnacja z funkcji rektora w 1558 r. nie oznaczała dla Thabora utraty wpływów. O tym, jak jego pozycja była ugruntowana, świadczy choćby korespondencja utrzymywana z Filipem Melanchtonem - jednym z najbardziej wpływowych ludzi ówczesnej Europy. Melanchton osobiście poinformował Thabora, że wybrali dla kościoła złotoryjskiego nowego diakon oraz niczym gazeta przekazał mu najnowsze wydarzenia. Podobne listy, w tej samej sprawie i z tą samą datą, otrzymała od Melanchtona jeszcze Rada Miejska Złotoryi oraz Henryk Paxmann – rektor gimnazjum. **Filip Melanchton do Martina Thabora, 10 sierpnia 1559 r.:** *[...] Martinowi Taborowi nauczycielowi w Akademii Złotoryjskiej, bratu swemu najdroższemu […]. Rozpoznajmy dobrodziejstwo Boże i wdzięczność okazujmy, ponieważ tym rejonom przydzielił i dotąd jeszcze zachowuje światło Ewangelii i nauk Eliasza, które są bardzo pomocne Kościołom, oraz umiarkowany spokój niezbędny do pogłębiania wiedzy. Franciszkiemu królowi Henrykowi Biskup Rzymski nie dał prawa zajęcia Anglii. Nie chcieli, żeby to stało się przyczyną i końcem pobierania opłat względem tych, którzy nie czczą papieskich idoli. Lecz Syn Boży na straży swojego Kościoła owe rady ochronił, który okiełznał Turków, aby nie wystąpili przeciw nam. Pewnym jest bowiem, że bracia tureckiej tyrani [Selim i Bajazyd] między sobą o królestwo walczyli. My więc, dzięki Bogu, pielęgnujmy wszelkimi usługami Kościoły i grupy uczących i nauczających, które, aby kierował i chronił syn Boży, nieprzerwanymi modlitwami modlę się. Wybraliśmy diakona [Jonasa Libinga], którego mam nadzieję, że uznamy za dobrego. Popierajmy wszelkie zadania Kościołów i społeczności uczniów i nauczycieli, którymi, aby kierował i chronił nas syn Boży, nieustannie modle się dla kościoła. Wolałbym, żebyś utrzymał imię Tabori ze względu na górę, która nazywa się Tabor ponieważ była środkiem owego przepięknego wybrzeża nad Jordanem […].*

W 1563 r. Henryk Paxmann rezygnuje ze stanowiska rektora i opuszcza Złotoryję. Łączenie funkcji rektora i lekarza było dla niego zbyt dużym obciążeniem. 25 czerwca 1563 r. Martin Thabor ponownie musi zająć się zarządzaniem szkołą. W obecności księcia Henryka XI przejmuje obowiązki i zarazem ogłasza uroczyście wydany drukiem *Porządek szkolny Trozendorfa*. W tym czasie rektor miał do pomocy ośmiu nauczycieli: Jodocusa Heniochusa, Georga Helmricha (pasierba), Zachariasza Bartha (przyjaciela i krewnego), Johanna Clajusa (chrześniaka), Caspara Hardata, Johanna Fleischera, Baltazara Schumanna i Nicolaua Miliusa, którzy musieli zapanować nad 440 uczniami. Taka ilość młodzieży powodowała wiele problemów wychowawczych. Nieco szczegółów o nich **podaje Hans Schweinichen, który studiował w Złotoryi w latach 1562-1563:** *[...] został do mnie w mieszkanie dołożony młody Georg Landskron. […] Jadał on co dzień chętnie miód. Teraz, jeśli ja z innym chłopcem miałem sprzeczkę, to obiecałem Landskronowi miodowy posiłek. W zamian bił się on z innymi, tak długo dopóki ja chciałem. Mój ojciec dał mi dwa talary […]. Strzegłem je dobrze w mojej komodzie […]. To zaobserwował inny student, który u mnie na izbie leżał . On włatuje jednej nocy, jak był szalony, i wyłamuje nie tylko moją skrzynie, ale także kilka innych. Gania on tak długo, dopóki my z izby nie umykamy. Wtedy on mnie kradnie w zupełnej ciszy dwa guldeny i dwa talary, które otrzymałem na chleb [...].*

W czasach Thabora w Złotoryi studiowało wielu Polaków – często byli to synowie najbardziej wpływowych ludzi w Rzeczypospolitej. W latach 60./70. - tych XVI w. przybyli Michał i Mikołaj Jazłowieccy, synowie hetmana wielkiego koronnego; Piotr i Paweł Bużeńscy, synowie podskarbiego wielkiego koronnego; Łukasz Działyński syn kasztelana brzeskiego, późniejszy wielki podczaszy i sekretarz królewski, szwagier kanclerza Jana Zamoyskiego; czy Maciej Pstrokoński, późniejszy kanclerz wielki koronny. Jak znakomicie musiała funkcjonować złotoryjska szkoła, skoro tak wpływowi ludzie oddawali rektorowi Thaborowi swoje dzieci na wychowanie? Wszyscy badacze dziejów gimnazjum złotoryjskiego podkreślają, że Martin Thabor utrzymywał w szkole wysoki poziom nauczania oraz dyscyplinę. Po jego śmierci było już tylko coraz gorzej…

W 1577 r. Thaborowi umiera żona Katarzyna Strobel. Po rocznej żałobie żeni się ponownie - 25 listopada 1578 r. z córką burmistrza Legnicy. Związek ten przetrwał jednak zaledwie pół roku - Martin Thabor umiera w kwietniu 1579 r. Jego przyjaciel **Zachariasz Barth zanotował:** *Roku 1579, dnia 15 kwietnia, został przeniesiony z padołu ziemskiego do Zbawienia i przez Chrystusa wybrany do wspólnego życia, sławny i najznakomitszy mąż, umiłowany i uczony wszelakich umiejętności pan magister Martinus Thabumus, co w tej szkole złotoryjskiej szczęśliwie nauczał przez 33 lata, wchodząc w 55 rok życia, został pochowany 19 kwietnia w kościele parafialnym [Narodzenia NMP].*

Po pochówku złotoryjskiego giganta, astronoma, matematyka, poligloty, kronikarza, teologa, znakomitego rektora i nauczyciela nie zachowały się już żadne ślady. Na szczęście zostały po nim liczne źródła pisane. Jest ich tak wiele, że mogłaby z nich powstać nawet osobna monografia.

Źródła i literatura: J. Ehrhardt, Presbyterologie…,T.4, Liegnitz 1789, s. 467-469; ; M. Adam, Vitae Germanorum philosophorum…, Frankfurt 1615, s. 400; M. Neander, Orbis terrae …, Lipsiae 1586, s. 135-140; L. Ludovici, Precatione…, Wittenbergae 1565, v. 255-256; Formulae Piarum… M. Thabor: Illustris Scholae.., 1587, s. 294-296; M. Neander, Aristologia Pindarica, Basel 1556, v. 24-26; Prosodiae Johannis Clai…, Wittenberga 1570, s. 7-10; Corpus Reformatorum. Ph. Melanthonis…, hrsg. C. G. Bretschneider, Bd. IX, Halle 1842, s. 899-890; G. Bauch, Aus dem Hausbuche…, s. 11-25; L. Sturm, Geschichte der Stadt Goldberg , Goldberg 1888, s. 108-111; G. Bauch, Valentin Trozendorf…, Berlin 1921, 170-175, 204-246; H. Barycz, Śląsk w polskiej kulturze umysłowej…, s. 185-186; A. Michler, Złotoryjskie rody. Helmrichowie, Jelenia Góra 2002, s. 47-70, 83; Lieben, Lust und Leben […] Ritters Hans von Schweinichen, hrsg. G. Büsching, Bd. 1, Leipzig 1823, s. 42-47.
Źródło ilustracji: A. Michler, Złotoryjskie rody…, il. 17.

Damian Komada

Warto przeczytać

Wehikuły czasu

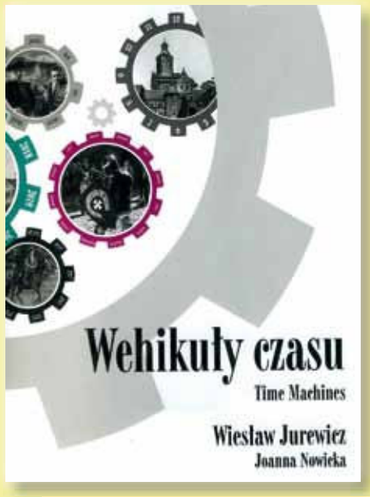

Niedawno ukazała się publikacja albumowa, będąca częścią szeroko zakrojonej promocji Europejskiego Szlaku Zamków i Pałaców, do którego należy 14 obiektów znajdujących się na terenie Dolnego Śląska. Jednym z nich jest nasza lokalna atrakcja turystyczna, miejsce wielu planów filmowych, a także obiekt, w którym odbywa się niezliczona ilość imprez kulturalnych, biesiad, spotkań autorskich, plenerów plastycznych, turniejów rycerskich, pokazów starego rzemiosła i jarmarków – Zamek Grodziec. Miejsce tętniące życiem dzięki aktywnemu kustoszowi – Zenonowi Bernackiemu.

Album ilustrowany jest pięknymi fotografiami Wiesława Jurewicza i opatrzony krótkimi opisami Joanny Nowickiej w języku polskim i angielskim.

Joanna Sosa-Misiak

Kącik starej widokówki

Dawne czasy Wilkołaka

Na naszych oczach zmienia się wygląd Wilczej Góry, znanej pod oficjalną nazwą – Wilkołak. Przez kilka (?) następnych lat kolejne setki ton bazaltu wyjadą stąd na różne budowy. Znamy i takich złotoryjan, którzy wcale się nie dziwią, gdy zniknie z horyzontu charakterystyczny „ogryzek” razem z rezerwatem przyrody nieożywionej.

Stare widokówki z końca XIX wieku przypominają ówczesną sytuację. Po lewej stronie góry, idąc od miasta, znajdowało się tzw. Schronisko Wilhelma (Wilhelms-Baude), obok którego wzniesiono pomnik na pamiątkę bitwy w 1813 r. Na szczycie stało Schronisko Wilcze (Wolfsbaude). Szczegółowe dzieje m.in. schronisk, pomników, lotniska, kamieniołomu i bitew znajdą wszyscy zainteresowani w książce „Wilkołak (Wilcza Góra) koło Złotoryi. Geologia–przyroda–historia”, wydanej przez TMZZ (do nabycia w księgarni, TMZZ oraz Centrum Informacji Turystycznej).

Na „poziomej” widokówce widać na pierwszym planie coś jeszcze – najpierw jakąś pieczarę, potem schodki, wodospad i skałki. Prosimy czytelników o pomoc: które z wymienionych obiektów istnieją do dzisiaj i jakie noszą teraz nazwy? Chętnie zamieścimy ich współczesne fotografie.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Boże Ciało - 1949 r.

Święta religijne na różne sposoby mobilizują wiernych. Wymagają odpowiedniej oprawy florystycznej, chętnych do dźwigania feretronów, sztandarów, symboli religijnych i patriotycznych. A potem parafianie wszystkich grup wiekowych przemierzają ulice – zwarcie, jeden przy drugim, w odświętnych ubraniach, śpiewających jednym chórem pobożne pieśni. Tak jak na fotografii z 1949 r. z albumu pani Marii Parkasiewicz.

Joanna Sosa-Misiak

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 29 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2015 roku:
Gala Człowieka Ziemi Złotoryjskiej, publikacje: *W modelarskiej miniaturze* oraz *Franciszkanie w Złotoryi,* IV Złotoryjski Przegląd Kultury Kresowej, konkurs i konferencja: *Złotoryja moich dziadków i rodziców*, wernisaż kolekcjonera kalendarzyków listkowych, XIV Powiatowy Dzień Regionalisty, XVIII Rajd Jadwiżański, wystawa z okazji 110 lat ZNP.

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ECHO ZŁOTORYI
* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY
* KOŁO KRESOWIAN
* KLUB KOLEKCJONERA
* RAJDY I SZLAKI ŚW. JADWIGI ORAZ ŚW. JAKUBA

TO MIEJSCE CZEKA NA TWOJĄ REKLAMĘ

GALERIA SPONSORÓW

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT „Bazalt" SA w Wilkowie

LASY PAŃSTWOWE NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki
STONESPOL

Lena Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hudrauliki siłowej
sprzetu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

COLAS Kruszywa

POAR Złotoryja

Osadkowski-Cebulski sp. z o.o. 25 lat

INŻYNIERIA INKOBUD ZŁOTORYJA

VITBIS szklane bombki choinkowe

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus"), tel. 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, www.facebook.com/echo.zlotoryi, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska-Wiewiórska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Damian Komada (skład), Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Joanna Sosa-Misiak (redaktor naczelna).

Zdjęcie na okładce: Andrzej Cukrowski, Widok kościoła od strony działek.

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok